STANISŁAW PIGOŃ

□□□

DO PODSTAW WYCHOWANIA NARODOWEGO

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM

IGN. CHRZANOWSKIEGO

Odrodzonej, wolnej
Szkole Polskiej

KRAKÓW — 1917
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI

DO PODSTAW WYCHOWANIA NARODOWEGO

STANISŁAW PIGOŃ

□□□

DO PODSTAW WYCHOWANIA NARODOWEGO

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM

IGN. CHRZANOWSKIEGO

Odrodzonej, wolnej
Szkole Polskiej

KRAKÓW — 1917
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETNERA I SPÓŁKI

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58569
BGZs 58569

58569
37.035

SŁOWO WSTĘPNE.

Jakkolwiek się skończy ta burza straszliwa, która już trzeci rok na ziemiach i wodach szaleje, jedno, zdaje się, nie ulega żadnej wątpliwości: Polska będzie. W jakich granicach, to na razie nie od nas zależy, ale od nas samych zależy, jaką będzie moralnie i umysłowo. A musi być inną, jak — w znacznej mierze nie z własnej winy, ale w znacznej mierze także i z własnej — była dotychczas. Będzie musiała, pielęgnując wszystkie dodatnie pierwiastki swego charakteru narodowego, wypowiedzieć walkę na śmierć i życie tym wszystkim starym wadom i grzechom, z których w końcu XVIII wieku zaczęła się leczyć, ale z których uleczyć się doszczętnie nie pozwolili jej sąsiedzi, i tym wszystkim nowym wadom i grzechom, którymi zachwaściła nasze dusze niewola.

Wstępujemy w nową epokę bytu narodowego, w której nawoływania do reformy dusz

K-9/84/265

polskich, od czasu Ksiąg pielgrzymstwa nie milknące ani na chwilę w naszej literaturze wychowawczej, będą nakoniec mogły znaleźć sobie posłuch nie tylko w sercach wyjątkowych, luźnych jednostek, ale w zbiorowej woli wolnego, samorządnego społeczeństwa, które zrozumie i, da Bóg, urzeczywistni nakoniec tę prawdę, że główną podwaliną bytu państwa i społeczeństwa jest wartość moralna charakteru narodowego.

W tym właśnie duchu napisana jest niniejsza książka — i dlatego wychodzi na świat. Jej autor jest jeszcze młody: przed kilku laty dopiero ukończył uniwersytet jagielloński. Pomimo to naukę historyi literatury polskiej wzbogacił już i rzetelnie pogłębił całym szeregiem większych i mniejszych studyów, z których dwa nadewszystko (»O Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego Mickiewicza«, oraz »Biesiada Towiańskiego i jej komentarz w czwartym kursie Prelekcyi paryskich Mickiewicza«) mają wartość bardzo niepospolitą i pozwalają rokować ich autorowi dobrą przyszłość naukową. Obyż tylko mógł jak najprędzej powrócić do systematycznej pracy naukowej — dzisiaj trzeci już rok upływa, jak jest w ogniu!

Lecz powie kto: łatwo młodemu, jeśli tylko jest tak zdolny i pracowity, pisać dobre i pięk-

kne studya historyczno-literackie, ale sięgać »do podstaw wychowania narodowego«, czy to nie zawcześnie w tak młodym wieku? Takby się zdawało, a jednak...

A jednak, jeżeli kto od wczesnej młodości rozmyślał o zagadnieniach wychowania narodowego i całą swoją duszą ukochał ideały moralne i wychowawcze wielkich nauczycieli narodu polskiego, od Modrzewskiego i Staszyca przez trzech wielkich poetów do Witkiewicza i Szczepanowskiego; jeżeli kto był uczniem Wincentego Lutosławskiego i przez lat kilka brał niezmiernie żywy udział w pracach »Eleusis« i innych stowarzyszeń, które, nie zrażając się różnemi przymówkami ludzkiemi, obrały sobie za główny cel swej działalności: odrodzić Polskę, przysparzając jej jak najwięcej silnych i czystych charakterów; a nadewszystko, jeżeli kto, pomimo młodego wieku, bardzo już wiele i usilnie pracował nad wyrobieniem własnego charakteru; jeżeli dla kogo zasada, że fundamentem gmachu kultury jest moralność, jest nie tylko zasadą, własnem ideowem przekonaniem, ale nadto własnem uczuciowem przeżyciem i własnym rzeczywistym czynem; i wreszcie, jeżeli kto, prócz oryginalnej i śmiałej myśli, ma gorącą wiarę młodzieńczą w istnienie, pomimo wszystko, postępu moralnego na świecie i niemniej gorącą

wiarę w przyszłość Polski: to czy nie ma prawa, czy nie ma nawet obowiązku, podzielić się z innymi temi swojemi własnemi przeżyciami, uczuciami i myślami o »podstawach wychowania narodowego«?

Więc niech idzie w świat ta książka! Zrodziła ją serdeczna troska o przyszłość Polski i jej odrodzonej, wolnej szkoły: niechże się przyczynia do jej budowy!

Ign. Chrzanowski.

PRZEDMOWA.

Artykuły, tu zebrane, powstały w ciągu ostatnich sześciu lat i ogłoszone były w różnych czasopismach i dziennikach, bez myśli, że się kiedyś znajdą pod wspólną okładką. Wywoływała je przeważnie doraźna potrzeba chwili, co im i w punkcie ujęcia i w sposobie podania nadało charakter publicystyczny.

Że się odważyłem zebrać je i powtórzyć tutaj razem, na to dwie się złożyły przyczyny. Pierwsza ta, że oto już trzeci rok wyrwany z toku normalnej, powołanej pracy, nie wiem— Bóg wielki jeden to wiedzieć może — czy dane mi będzie jeszcze wrócić do tych najdroższych myśli, do ich realizacyi w codziennym zachodzie, pogłębić je, uwierzytelnić w wychowawczej praktyce, podać kiedyś w wykończonej, rzetelnej całości.

Ludzka to rzecz, że taka perspektywa osierocenia swych umiłowań rodzi pewien osobli-

wy wobec nich sentyment. Chciałoby się nie dać im zmarnieć, zatestować je słowem, jak mówił Norwid.

Powtóre — sądziłem, że nawet tak, jak są, mimo całej niedoskonałości wyrazu, może się przecie komu mogą przydać, że wywołają gdzieś zastanowienie i do określonych wysiłków może pobudzą.

Wiadomo oczywiście, że w tym względzie każdy rad się ludzi, ale w mojem złudzeniu utrzymało mnie najpierw życzliwe zdanie paru kolegów i jednego z moich nauczycieli, a powtóre myśl, że właśnie dziś, kiedy na wielkim obszarze ziemi polskiej radośnie, z żywiołową siłą powstaje, kształtuje się i pogłębia narodowe szkolnictwo, że dziś żadna w tej dziedzinie troskliwa myśl nie powinna być zapoznana ni zlekceważona.

Dokonywujący się w Królestwie Polskiem wspaniały renesans polskiej energii edukacyjnej żywić się winien zbiorowym pilnym zamysłem, współpracą całego narodu. Nie rozporządzając sobą, własnej siły roboczej oddać nie mogłem zbożnej współpracy, niech więc wolno będzie choć tę garść myśli wychowawczych złożyć w dani. Odrodzonej, wolnej szkole polskiej poświęcam zbiorek niniejszy; czem chata bogata, tem rada.

Aczkolwiek w różnym czasie pisane i koło

różnych zagadnień owijały się te myśli, mimo to sądzę, że tworzą razem pewną jednolitą całość. Nie myślową — zapewne, ale ideową. Spaja je mianowicie wspólna idea macierzysta, dążność do oparcia wychowania narodowego, jako na najgłębszym fundamencie, na obudzonem życiu duchowem człowieka.

Myśl to w dziejach polskiego wychowania ani moja, ani nowa. Przed trzema z górą wiekami jasno już ją ujął mądry Górnicki w te słowa: »Człowiek dwoje przyrodzenie ma w sobie, to jest boskie i bydlęce;... przeto szukać trzeba tych dróg, jakoby to rządziło ludzi, co nie ma nic bydlęcego w sobie i co się pochociam cielesnym zwalczyć i zniewolić nie dopuszcza«.

Iluż ludzi i po wielekroć ją powtarzało w ciągu stuleci, a jakżeż nie odpowiedziała rzeczywistość tym dążeniom! W huczących jeszcze wypadkach pokazała owszem swój wierzytelny, nieobłudny w tym względzie wizerunek.

Właśnie jestem jednym z tych wielu, co mogą, co muszą ustawicznie wizerunkowi temu patrzeć wprost w oczy. Masę ludzką widziałem w bitwach, pościgach i odwrotach, na ciepłych jeszcze gruzach Dinant, na równinach Wołynia i w rowach Krasu, i wszędzie, gdzie tylko sposobność się pojawiła — jako owoc wojennej psychicznej kultury — napotykałem czło-

wieka rozpętanego, więcej: — przewalające się w całej ohydzie chełpliwego bezwstydu, oślepłe na krzywdę, kierowane jedynie grabieżniczą chucią i rozuzdaniem zmysłowem — zdyablone człowieczeństwo.

Błahy byłby spór: czy go jest więcej po tej, czy po tamtej stronie; dość, że jest wśród ludzkości XX w. — to wystarczy.

Dyscyplina wojenna bierze w twarde kluby te wybuchy moralnego rozpętania, ale rozporządza ono taką jeszcze siłą żywiołowości, że, skoro raz przełamie i zalewem runie poza zwalone tamy, to opanować, przydusić je może jedynie znagła narzucony, przeraźliwy stadny lęk, lub... syte zmęczenie.

A niema się co łudzić, że kultura, oświata, nakłada skuteczne hamulce na te prapierwotne instynkty, że je otamowuje i wytępia. To złudzenie! Ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem widziałem w orgii łapczywej drapieżności, zapamiętałych porówni z ostatnim analfabetą. Że forma była nieco dystyngowańsza!... Nie, okłamywać się niema co. Jedna jest w istocie swej natura ludzka, mimo przeróżnych na niej nadbudówek.

Zostanie niewątpliwą, smutną zasługą wojny, że odkryła, jakie to jeszcze przepaści i jakie straszliwe potwory drzemią w duszy człowieka dzisiejszego. Wyznaczyła dowodnie i niedwuznacznie, na jakim to poziomie wartości stoi ludzkość po dwu tysiącach lat władania Ewangelii, po tylu niezliczonych usiłowaniach wychowawczych. Jakżeż się łudzili dziadowie nasi, sądząc, że jesteśmy w przededniu epoki Ducha św.!

A jednak, jednak wśród całej tej ohydy, wobec najpotworniejszych jej przejawów, nie opuszczała mnie nigdy, owszem utwierdzała się na setnych przykładach, radosna pewność, że straszliwe to zło, to rozpętanie występku w człowieku nie jest nieprzezwyciężalne, że nie ma bezwzględnej, nieodpartej władzy nad duszą ludzką; owszem, można je w sobie zdusić, piętą zetrzeć mu zjuszony łeb.

Stwierdzając to, nie mam na myśli świętych, o słonecznej czystości duszy, jednostek, które poza swoją *impeccabilitas* niedostępne są krwawym oparom rozpasania. Myślę o ludziach ziemskich, zwyczajnych, o nas wszystkich, nieszczęsnych synach pokolenia Adamowego, co gorzki chleb upadków i nieudałych podniesień spożywamy codzień.

W nas wszystkich żyje, w dzień i noc czuwa niedostrzegalny, czai się taki głód rozpętanego występku, w każdym z pośród nas istnieje — przysypany może — lecz nie zasypany chodnik łącznikowy do jaskini dzikości moralnej. Ale równocześnie, obok czy ponad tem, jest w nas

zalążek żywej mocy władczej, co zdolna założyć wędzidło podźwigającemu się złu, jest zaródź wyższego, jasnego człowieczeństwa. W jednym głębiej, w drugim płycej pod nawałą ułomności, ale jest w każdym ta Boża iskra.

Raz rozdmuchana w płomień, już nie zagaśnie, ale pali się i przeczyszcza pokłady duszy, nadaje jej siłę i kierunek wzrostu, nigdy nie ukojony pęd tęsknoty za wyżyną i szczytem, — czy ją nazwiemy życiem duchowem, czynną religijnością, czy wzrostem prawości moralnej.

Niejeden potem przyjdzie niewątpliwie upadek, osłabienie, czy nawet sprzeniewierzenie się jasnemu trudowi. Ludzkie to są, odwiecznie gnębiące dzieje. »A którzy jedli chleb anielski, widziałem, że się w błocie wieprzów zakochali« — stwierdził już Tomasz à Kempis. Zapewne. Ale całkowicie unicestwić praca, ognisko zadusić — się nie da. Przypadnie perzyną, zniechlui wszelakim żużlem, ale twarde uderzenie losu, ciężka jakaś — jak dzisiejsza nawała niedoli, wielkie cierpienie — wydobędą zawsze snop iskier i żywy żar z pod skorupy; obudzą życie ducha, zaprzęgną do nawrotnego mozołu uprawy wewnętrznej.

Także i tę władzę nieraz widziałem w trwaniu i w czynie wśród najzacieklejszego zgiełku wojny.

Trudnoż tu jeszcze wskazywać, że taki

rwący nurt życia wenętrznego działa nie tylko czasu burzy i karania, kiedy po budzących się złych popędach zwierzęcości uczy, »jak po padalcach deptać niecierpliwych«, ale że, podając wiedzę karnego władania sobą i rzeczami, rozwiązuje wogóle tajemnicę owocnego życia.

Tu chodzi mi o moment i wiedzę rozdmuchania tej »iskry«. Otóż jest faktem, że i ona najochotniej »w młodocianym zapala się wieku«, a czynnikiem, pobudzającym jej rozbłysk — podkreślić to trzeba najwyraźniej — stać się może wychowanie. Że się, owszem, stać musi rychło — sądzę — po tej strasznej zawiei, uświadomią sobie łatwo czujący w narodzie wychowawcy.

Wychowanie polskie musi posiąść trudną wiedzę, jak przez grubość ludzkiej natury odszukać we wnętrzu ów zalążek, jak rozchylić kompleks łupin i oskorupień, co go wiążą i jak wypielęgnować z niego rzeźki, wiosenny pęd życia duchowego.

Obudzenie więc »ruchu ducha«, głodu moralnej doskonałości, niewygasającej woli przetworzenia się na wyższy typ człowieka, słowem o d r o d z e n i e, wzięte być musi za naczelną dążność i najwyższy cel wychowania. »Zaprawdę, kto się nie odrodzi z Ducha św., — nie wnijdzie do Królestwa Bożego« (Joan. 3. 5.).

Że zadanie to możliwe do podjęcia i że wy-

konalne, w tem właśnie tkwi radosny sens i cała wartość wychowania, w tem zakład dostojeństwa i odpowiedzialności powołania nauczycielskiego.

Świadomość tego zadania tkwi, zdaje mi się, u podstaw wszystkich zawartych w tym tomiku artykułów. To niech je usprawiedliwi, że zaprzątają sobą uwagę ogółu.

Jeszcze nad jednym punktem, sądzę, godzi się tu zatrzymać. Uderzyćby mogło kogoś, że sprawę moralnego odrodzenia, więc zagadnienie wszechczłowiecze, ponadnarodowe, czynimy tu zasadniczą podstawą polskiego wychowania narodowego. Otóż absurd jest tu tylko pozorny.

Zasada to oczywiście wspólna całej ludzkości, boć ludźmi jesteśmy przedewszystkiem, ale sposób jej postawienia i przeprowadzenia, metoda duchowej regeneracyi i jej drogi rozwoju w wychowaniu, będą, być muszą nasze własne, narodowe, właściwe tej konstrukcyi psychicznej, która przeważa jako typ w społeczeństwie polskiem, uważanem w czasie i przestrzeni. O tej metodzie trudnoż s t ą d mówić, trudno m ó w i ć wogóle, ją trzeba wypracowywać w wytrwałych codziennych zabiegach wychowawczych.

Że polska jest ta poprzez szczeble żarliwości moralnej wiodąca droga, dowieśćby mogła

choćby historya narodu, wykazująca bądź co bądź — obok największych może błędów — także najwyższe bodaj w ludzkości momenty przejawienia się zbiorowej egzaltacyi moralnej w życiu państwowem. Na to samo wreszcie wskazuje fakt, że najwyższe, narodowo uświadomione duchy polskie: żołnierze, ekonomiści, poeci, z jednomyślnością i głębią przeświadczenia, niesłyszaną wśród innych ludów, życiem i nauką powiązały nierozdzielnie moralną prawość Polaka z jego narodową przydatnością.

Na pozycyi ..., w styczniu, 1917.

O KULTURĘ WSI POLSKIEJ.

Myśmy się już oduczyli ujmować myśl i życie polskie w kategorye narodowej samodzielności. Niechby wszystkie, wszystkie konsekwencye niewoli ustąpiły, ta jedna zostanie. Obluzowały się dusze z twardych społeczeńskich wiązadeł, nauczyły się p o z a s i e b i e oglądać, zamiast w sobie się budować, odwykły od czynienia wszystkiego na poziomie własnej, polskiej państwowej przynależności.

Samowola w myśleniu, luzactwo w działaniu— zawisło przekleństwem nad pokoleniami.

Gdyby mogli ludzie polscy ustanawiać poczynania swe wszystkie — nie w jakiejś ponadczasowej, bezpłciowej próżni, ale w twardych obramieniach n a r o d o w e j p r z y d a t n o ś c i, gdybyśmy się nauczyli — jak to ongiś Andrzej Frycz określił — wszystko, cokolwiek czynimy, czynić dla pożytku m i ł e j R z e c z y p o s p o l i t e j, Rzeczy-

pospolitej nie jako majaka, gdzieś na horyzoncie czasów, ale jako rzeczywistości rychłej, jutrzejszej czy pojutrzejszej — wtedy wiele spraw i faktów, leżących do dziś pod progiem polskiego baczenia, w odmęcie beztroski, lub co gorsza — przegadania — wychyliłoby ku nam twarz inną, własną, niespodzianą, a surową, surową... Wezbrałyby sprawy polskie czarną grozą, ale i sprężyłyby się trzeźwem poczuciem społecznej za nie odpowiedzialności.

Grozą wezbrałaby przedewszystkiem s p r a w a l u d o w a.

Przecie w tej dziedzinie panuje do dziś dnia jakieś straszne, bezwyjątkowe, prawie nagminne niedowidztwo. Przecie prawie wszystko, co się tu buduje, buduje się na płyciźnie, naniesionej falą wypadków, nie gruntowanej świadomem, konsekwentnem, spoistem ustanowieniem. Przecież prawie wszystko, co się tu czyni, czyni się po linii łatwej złudy: jakoś to będzie, jakoś to ta c a ł o ś ć: — świadomy, p o l s k i lud, jako twórczy organ narodowej woli — jakoś tam sama się złoży.

Ale niedowidztwem nikt jeszcze nigdy niczego nie zbudował.

*

* *

Pierwsze, co przy głębszem wejrzeniu w pokłady tych zagadnień narzucić się musi, to przeświadczenie o oczywistości rozpołowienia w orga-

nizmie społeczno-narodowym. Istnieją w dzisiejszej Polsce dwa światy, dwie dusze, dwie — co najwyżej powierzchniami stykające się zbiorowości: chłopska i pańska.

Co my mamy ze sobą wspólnego? Co nas łączy? Jaka jest w Polsce najgłębsza wszechobowiązująca więźba narodowa?

Pomijam już różnice w umysłowościach, bo te, choć się nie przyczyniają do ujednolicenia organizmu narodowego — najmożliwsze są do usunięcia na wyż, i nad tem usunięciem najwięcej się jeszcze pracuje. Ale różni jesteśmy uczuciem. Chłop co innego kocha i zgoła, zgoła inaczej, niż »inteligent«. Różni nas nawet religia, czynnik najbardziej jednoczący. Co wspólnego między chłopem, wierzącym twardo, z dużą przymieszką zabobonu i kultu dla tajemniczych sił przyrody, wierzącym w Boga, jako potęgę, pod której już bezpośrednią opiekę uciekać się padnie w częstych chwilach, gdy własne zawiodą siły — a inteligentem, fundującym swe życie na ufności w rozsądzający, wszechpotężny geniusz człowieczy? Inteligentem religijnie opornym, obojętnym, lub w najlepszym razie przesubtelnionym?

Różnimy się pożywieniem, ubraniem, mową, zainteresowaniami, tradycyą całą!... Co mamy wspólnego, co nas może jednoczyć, ale jednoczyć tak zupełnie, bez cienia nieporozumień, rozdźwięków?

Polaryzacya ta narodowa wlecze się już wiek przeszło przez wewnętrzne życie Polski. Już od wieku istnieje w Polsce sprawa ludowa. I oto po tyloletniej mitrędze, po tylokrotnych, najprzerozmaitszych wysiłkach powiązania jej ze sprawą narodową, stwierdzić musimy, że cała praca w. XIX skazana być musiała z góry na bezpłodność, na zmarnienie. Na fałszywym była zbudowana gruncie.

* * *

W ulotnym, publicystycznym szkicu chodzić nie może o możliwie pełne wyczerpanie historycznych i psychologicznych przesłanek, na których ten grunt się umocnił. Sięgają one daleko w przeszłość; wyrabiał go społeczny romantyzm, wyrabiała ideologia wielkiej emigracyi i genetycznie z nią związane zamierzenia zbrojne w kraju, wyrabia dziś żywo się wzmagający ruch polityczno-społecznego uświadomienia wsi.

Sięgają one w głąb dusz ludzkich; złożyły się na nie obustronne konsekwencye krzywdy wieków zeszłych, a wydźwignęła je na jaw konieczność przymnożenia siły żywotnej dla twórczości ducha polskiego i wreszcie ów ludzki, arcyludzki pęd sfer wyższych do oparcia własnej inercyi na kimś niby niespożytym, niby niezawodnym, byle tylko nie na sobie samym.

Trudno narzekać, że tak się stało. W ustosun-

kowaniu społecznem, jakie naniósł nam w. XIX, może tak być i musiało, w logice dziejów może to i konieczność nieunikniona — to rozdwojenie w narodzie.

Chodzić może jedynie o to, żeby, poznawszy stan rzeczy w głębi i szerokości, — zdobyć się na moc zapanowania nad nim, pokierowania jego rozwojem przez wszechrozsądzającą zbiorową wolę. Żeby zdobyć się na siłę wolnego stanowienia o sobie, a nie płynąć z pierwszą lepszą, mocą przypadkowych lub najłatwiejszych skojarzeń wytworzoną falą; by pchnąć sprawy polskie w świadomym kierunku, a nie czekać, aż one własnym bezwładem potoczą się po najdogodniejszej pochylni. Chodzi o to, by sprawą ludową w dzisiejszem jej stadyum — zajęła się celowo narodowa wola polska, a do rzetelnego poznania jej istoty, by nawiązała roztropny trud formowania struktury niepodległości dla jednolitego już narodu.

* * *

Wieś polska stanowi więc dziś osobną, w swej osobności świadomą, a w napięciu wysoce wartościową siłę składową życia polskiego. W obrachunku sił narodowych — z niej, jak z podstawy, zawsze się wychodzić musi. Wieś nie jest już, jak stary Rej mawiał — »gołą tabliczką«, już się tam na niej wypisało samodzielne, rzeźkie życie.

Tak zwana »praca wśród ludu« rozwijać się chce w dwóch przedewszystkiem kierunkach, dwoma łożyskami wysiłków pragnie zatrzeć, znieść ową zabójczą polaryzacyę narodową. Podźwignąć się usiłuje lud ekonomicznie i oświatowo.

Dobrze to jest, że chłop, przez czasów tyle społecznie ukrzywdzony i zgoła nijaki, właśnie społecznego dobił się dziś znaczenia, że już nie można o nim bez niego stanowić. Dobrze, że na podłożu ekonomicznej niedoli zbudowano jej przeciwważnik: ekonomiczne organizacye. Chłopskie miliony, procentujące w kasach Reiffeisena, tysiące i tysiące zorganizowanych w Kółkach rolniczych — mówią już same przez się.

Dobrze to, bo dziś człowiekowi, wzywającemu do pracy nie w imię zysku, tylko w imię powinności, trudnoby już było spotkać się z twardem słowem: »idea — uważacie, panie — dobra rzecz, ale żeby to nie trza przy niej głodnego brzucha paskiem przyciągać«.

Mocna już jest podbudowa społeczno-gospodarcza na wsi i w dalszem rozrastaniu i umacnianiu nie da się powstrzymać.

Ale oto rodzi się pytanie: — co się wzniesie na tej podbudowie?

Wieś polska przedstawia się dziś jako całość w sobie zwarta, żywa, potencyalnie olbrzymia, tylko że wobec zagadnienia narodowej przyda-

tności — jest dotychczas tajemniczem, niezbadanem tworzywem, masą. Jest jak zwarty, potężny blok rezerwy w walce. Linia bojowej awangardy słabnie, raz poraz tęsknie się poza siebie ogląda za ukrzepieniem, ale oblicze rezerwy jeszcze do rozeznania trudne; pomocą-li się stanie, czy tępą nieruchomą bryłą gapiów? Kamieniem, który narodowi ułatwi dolę spłynięcia na dno zagłady?

Z obozowiska rezerwy wyrwali się tam i sam harcowniki nowego typu, ale pierwsze ich poczynania nie znamionują sprawnych, sfornych rycerzy narodowej potrzeby. Nie nowina to już na wsi: człowiek światowy, rozgarnięty, daleki od bezwładnej chłopskiej nieporadności, człowiek o szerszym rozmachu myśli i głębszem zagarnięciu uczucia, chłop mądrala-bywalec, ale te właśnie awangardy postępu i nowego życia nierzadko zbyt mocne dają powody do głębokiego zatroskania się: czy aby sprawa chłopska ze wszystkiem po dobrej idzie drodze?

Sporadycznie się wyrabiający nowy typ światłego chłopa — nie zawsze odpowiada wymaganiom rzetelnej kultury. Wraz z cywilizacyjnem okrzesaniem — zachowuje on, a nawet parokrotnie w sobie wzmaga zapamiętałą, nienasyconą łapczywość na zysk materyalny, zatrzymuje krytą żądzę człowieka pierwotnego, chuć pognębienia i owładnięcia słabszym, a powzięta niby-kultura nie wnosi w jego duszę swych rzetelnych warto-

ści: ani wzmożonego, wydelikaconego zmysłu estetycznego, ani dążności do otamowania brutalnych odruchów instynktu, ani pędu do władczego powściągnięcia w folgowaniu własnym, samolubnym zachciankom, ani nadewszystko — zmysłu odpowiedzialności za naród.

Niema się co łudzić. Chłop, dźwigając się społecznie — nie tworzy swojej, nowej polskiej kultury, wchodzi w starą, »pańską«, przeważnie wzmaga i kondensuje jej strony ujemne, wytrwale odrzucając wartości dodatnie. Przykłady zbyt są świeże i zbyt bolesne, żeby je tu przytaczać i komentować.

Czasby już przeto dojść do świadomości, że dotychczasowa praca nad gospodarczem odrodzeniem wsi polskiej, aczkolwiek pod wieloma względami dodatnia i konieczna, wobec potrzeby narodowej — nie wystarcza. Wzmożone apetyty jednostkowe znamionują zawsze nie odrodzenie społeczeństwa, ale niechybnie nadchodzący upadek. To pewnik.

Naród odradza się nie przez narastanie kieszeni, tylko przez narastanie dusz.

Tak więc — widzimy — wypadkowa ekonomicznej pracy na wsi najwyższego swego celu: zjednolicenia narodu w głowie i członkach — właśnie że chybia. I tu i tam, i na »wyższym« i na »niższym zagonie ludzkości«, znalazł się jeden tylko klucz porozumienia, dziwnego uroku, jedno-

czące słowo: zysk. Pod tem zawołaniem schodzą się klasy, poznają się w jedności obie dusze w narodzie. Złowroga jest ta spotworzona »zgoda«.

Na jedzenie nas jak wróble wyłapie kiedyś postronny nieprzyjaciel...

Bo takie zjednoczenie na poziomie najniższego motoru życia — nie usuwa, raczej pogłębia, zaprzepaszcza owo spolaryzowanie narodu, o którem na początku się wspominało.

*

* *

Powszechne jest rozumienie, że ten fakt rozdwojenia w narodzie to sprawa wyłącznie z dziedziny intellektualizmu, że różnimy się wyłącznie pojęciami, ich zakresem, głębią, subtelnością, a nawet gatunkiem. Usunąć więc przyczynę, a rzecz się sama naprawi; rozlać na kraj cały wartki strumień oświaty, a wzmocni się i ujednolici spoistość narodową. Wyrosła stąd druga — obok ekonomicznej — dziedzina pracy społecznej na wsi.

I znowu przesądzać nie godzi się o całokształcie jej zamierzeń i owoców; rozważam ją jednostronnie, li tylko pod kątem tej narodowej przydatności, jej przystosowalności do najwyższego naszego celu: zyskania niepodległości własną, świadomą, zbiorową wolą.

Jedna jest jedyna do tego droga: W z m o c n i ć aż do *maximum* w p o w s z e c h n o ś c i n a r o d u

z d o l n o ś ć d o b e z i n t e r e s o w n e g o, d o b r o w o l n i e o c h o t n e g o p o ś w i ę c e n i a o s o b i s t y c h p r z y j e m n o ś c i i z a d o w o l e ń n a r z e c z z b i o r o w y c h, w y ż s z y c h c e l ó w.

Wszystko, co tę zbiorową bezinteresowność wzmaga, jest czynnikiem w ekonomice narodowej wartościowym, dodatnim, wszystko, co ją osłabia, złem i przestępstwem — o ile nie świadomą zbrodnią. Daleko nam do tego zrozumienia!...

Nie oparła się na niem dotychczasowa praca oświatowa. Ludzie, idący na wieś, by nieść oświatę, nie rozumieją najkardynalniejszej różnicy między sobą a chłopem. Są to zwyczajnie inteligenci, którzy już przejedli się nauką, nie biorą jej z instynktowego pędu do opanowywania nowych dziedzin wiedzy dla wyłącznej satysfakcyi opanowywania, dla radości wiedzenia. Traktują zaś wiedzę jako groszodawczynię, jako źródło utrzymania, jako zawód, dający im »chleb do ręki«.

Otóż to — oczywiście bardzo mało, a może wogóle nie uświadomione stanowisko wobec nauki — różni zasadniczo i istotnie inteligenta od chłopa, człowieka wyższego od człowieka prostego.

Ten ostatni bowiem pragnie wiedzy, jak pierś ściśniona — powietrza, jak posuchą spalona ziemia — wilgoci, to znaczy i n s t y n k t o w n i e. Istnieje w człowieku jakiś przyrodzony głód wiedzy, jakieś ustawiczne dziecięce zaciekawienie:

dlaczego? Zaspokaja go dopiero pewna doza pozyskanych wiadomości. A i to źle, jeśli go zaspokoja na zawsze.

Otóż człowiek prosty w dzisiejszem stadyum kultury — jest głodny, wiele mu brakuje do inteligenckiej sytości. Dlatego on wiedzy szuka. Prowadzi go w tem — analogiczny do uczuwania głodu — zmysł ciekawości. Ciekawość zaspokajające opowieści — dawniej rycerskie, dziś brukowo sensacyjne, — największy mają pokup między ludźmi prostymi, tworzą literaturę ludową. Kiedy się swobodnie chciano odemnie na wsi coś ciekawego dowiedzieć, pytano zawsze o rzeczy z dziedziny astronomii, geografii, mineralogii, zoologii egzotycznej, fizyki etc., a nigdy o wiadomości, z którychby bezpośredni zysk mieć można. Od żądzy zysku silniejsza jest żądza wiedzy, żądza zaspokojenia duchowego głodu. Tak jest i będzie przynajmniej do czasu.

Tymczasem z tą wiedzą przychodzi do chłopa inteligent o wręcz pod tym względem przeciwnej, zjełczałej już psychice. Chcąc uczyć, wydobywa z siebie dla powiązania się ze słuchaczami jako najwyższy argument to, co jego samego zawsze przekonuje: widoki możliwego wyeksploatowania wiedzy, u wstępu podkreśla jej rentowność.

I oczywiście chybia. A jeżeli nie chybia, to degeneruje swoje słuchające ofiary, do siebie je zawcześnie upodabnia, znieprawia im dusze, tak, jak

znieprawiłby ktoś głodnego, gdyby go zachęcał do jedzenia, malując mu smakowitość korzenistych przypraw. Kto chleba potrzebuje, ile że głodny, ten normalnie nie będzie jeść w tym jedynie celu, by odczuwać przyjemne drażnienie brodawek smakowych.

Procent znieprawiających się przez tak fałszywie podaną wiedzę jest duży, boć tajemnicą nie jest, że motorem postępowania ogromnie żywotnym, najłatwiej dającym się poruszyć, jest na wsi zawsze jeszcze łapczywość na bogactwo. A i nie na wsi tylko.

Otóż tak prowadzona oświata — a mówię tu o narodowej oświacie, nie o tej, sankcyonowanej przez pieczątki z orłem dwugłowym — jest bronią strasznie obosieczną. Może utwierdzić w prostych duszach, oprzeć na wyrozumowanych przesłankach przyrodzony pęd do »zdrowego egoizmu«, obrócić się może niechybnie przeciwko wytęsknionej przyszłości.

Warto zawsze pamiętać mądre słowa Mickiewicza: »I oświecone były królestwa Westfalskie, Włoskie, Holenderskie, które widzieliście, że porodziły się i poumierały, a nie zmartwychwstają«. I ten drugi pewnik, że wartość pracy tem jest większa, im po linii większego oporu była wykonana.

Więc i oświata niekoniecznie być musi niezawodnem ogniwem spojenia rozszczepionego narodu. Ludzi łączą nie pojęcia, ale ukochania, nie

rozumy, ale serca. Beznarodową może być w najgłębszej swej istocie oświatowa, zarówno jak i gospodarcza więźba; jedna i druga łączy dotąd ludzi w instynktach niższych, egoistycznych, nie wiąże zaś, a może nawet i rozłącza w celach najwyższych, wymagających i bezinteresowności i ofiary.

Na tych zaś podstawach, na instynkcie poświęcenia się za sprawę wyższą, wyróść musi kultura klas wyższych i kultura wsi polskiej. Na tem dopiero poziomie mogą się one zejść i zjednoczyć. Przy takiej temperaturze uczuć stopią się nierozdzielnie dusze w narodzie.

W narodach żywotnych, a losem politycznym naszemu podobnych, dawnoby już niechybnie popowstawały T o w a r z y s t w a k u l t u r y l u d o w e j z celem jednoczenia i potęgowania istotnych wartości duszy chłopskiej, budowania od środka niezłomnych rusztowań pod rychłe, własnowolne odzyskanie niepodległości.

U nas daleko jeszcze do tego. Szczytem naszego marzenia jest, żeby duszy ludowej przynajmniej nie znieprawiano, nie zbezkształcano, nie sankcyonowano wytrwałą metodą tego zła, które i tak się w każdej ludzkiej duszy szeroko rozkrzewia, by kulturą nie wzmagano zachłannej łapczywości na zysk.

Ale wzmożenie bezinteresowności i ofiarności w polskim chłopie — nie wyczerpuje jeszcze całego zakresu społecznej powinności odrodzicieli wsi. Te cechy duszy stanowić mogą dopiero — żeby tak określić — k a p i t a ł niezawodny, siłę p o t e n c y a l n ą narodu. A jako taka — musi być co rychlej przemieniana w energię k i n e t y c z n ą, w pracę. Na tych podstawach ma się bowiem t w o r z y ć bezustannie, z dnia na dzień, zbiorowe życie polskie. A do tego trzeba świadomości celu, trzeba w y t y c z n e j. By się ofiarować, trzeba też mieć wpojoną wiedzę, dla kogo, po co mam się ofiarować.

P o l s k a taką wytyczną, najwyższą i nieodwołalną, ma, ale c h ł o p polski jej nie ma. Miejmy odwagę sobie to powiedzieć. Uświadomienie n a r o d o w e na wsi — przynajmniej galicyjskiej — jest zdumiewająco małe, a co najmniej w 50% — nijakie. Miejmy tę odwagę!...

Słońcem, koło którego się obraca cały system publicznego życia chłopa w Galicyi — jest Wiedeń. Tam mieszka nasz dobry cesarz, na którego cześć już w elementarzu hymn wydrukowano, który wszelką niesprawiedliwość usunie, ostatnia ucieczka znękanego nieporadnością swą w procesie komornika. Najwyższy przejaw życia politycznego wsi: wybory, — mają również jeden cel: obesłanie w i e d e ń s k i e g o parlamentu.

Centralizacya państwowa odniosła już najwyż-

szy tryumf, urobiła na swój wzór dusze olbrzymiej większości »Galicyan«. Polityka państwowa, przez polskie uprawiana stronnictwa — wiernie jej w tem zbożnem dziele sekunduje.

O Polsce wie się na wsi, że byli jacyś królowie, a za nich — wiadomo — pańszczyzna, z w. XIX wie się, że byli »konfederaci«, którzy, ścigani przez żołnierzy, żywność i paszę brali po wsiach siłą, że wogóle w tych »polskich czasach« strasznie dużo było targaniny, bijatyk, wojennych niepokojów, ale za naszego dobrego cesarza to tam, chwała Bogu, spokój...

A przyszłość, o którą się tam »panowie« dobijają — niepodległość, — tę zesłaćby nam mógł chyba wyraźny cud, bo naszemi rękami przeciw takim strasznym siłom — nie poradzi.

I w tej niewierze leży punkt naczelny naszej nędzy. Chłop nie czuje swej osobistej za sprawę polską odpowiedzialności, czuje się poza nawiasem tych, którzy o Polsce stanowią.

Wobec przyszłości tedy powinnością jest pierwszorzędną: ułożyć koncentrycznie te dwa zgoła odmienne zakresy pożądań, utęsknień, dążeń. Poprostu: serce ludu przesunąć ku sercu Polski, nakryć je wzajemnie. Niechby chłop poczuł swój osobisty, krzyczący obowiązek dbania o to, co się z Polską dzieje. Oto zadanie.

Dla jego wypełnienia wytworzyć się musi

w Polsce metodyka, jak jest metodyka gospodarczego odrodzenia wsi. Będą, nie łudzimy się, będą zawody, chybione próby, będą długie, długo niespełnione czekania na oddźwięknięcie serca, ale być muszą i owoce. Tylko niechże się o to zatroska świadoma, szeroka społeczność polska. Inaczej staną się dotychczasowe wysiłki szlachetnych woluntaryuszów — beznadziejnie czczą, dobijającą szarpaniną, wołaniem Jaśka z »Wesela« — w zmartwiałe uszy tancerzy.

* * *

W skarbnicę tej przyszłej metodyki odrodzenia narodowego wsi — wnieść chciałbym jeden szczegół — nie najpośledniejszy.

Czynnikiem w utrzymaniu sfornej więźby narodowego organizmu — ogromnej wagi jest wspólna tradycya. Tradycya w najczystszem rozumieniu słowa, pojęta jako wiedza rzeczy przeszłych, wytyczająca drogi w przyszłość; jako świadomość jednolitego, konsekwentnie się rozwijającego życia, pojęcie tego życia jako żywej, organicznej, przez wczoraj, dziś i jutro postępującej, a zawsze tej samej jedności; tradycya jako arka przymierza między dawnemi a nowemi laty, jako czynnik postępu i życia, a nie zatamowania i martwoty.

Chłop tradycyi polskiej nie ma. Obywatelem

w narodzie ongiś wolnym — nie był. Nie ma więc tego pędu, jaki idzie poprzez poczucie się w łańcuchu postępujących dziejów jednego i jednolitego narodu. Nie czuje swej przynależności do dawnej Polski.

Racławice tej tradycyi nie zastąpią, to za mało. Przyszłość Polski musi być szczytem, koroną wszystkich wartości narodowych, jak się one wyrobiły przez cały przeciąg życia historycznego. Świadomość chłopska wpleść się musi w te przeszłości jak we własne ciało, obudzić musi w sobie pamięć przeszłego życia, obudzić ducha narodowego. Wyrozumieć musi, że na całej rozciągłości dziejów polskich chłop znaczył zawsze pewną wielkość żywą, był przecież cząstką narodu.

W roku grunwaldzkim przypomniał w »Kuryerze lwowskim« p. Zagórski z kart Długosza, że i w pogromie Krzyżaków brali udział nieznani, bezimienni, chłopscy bohaterowie. Takich momentów jest w kronikach więcej, i trzeba je sobie i chłopu przypomnieć!

Ale to jeszcze nie wszystko.

Są w dziejach Polski postaci jasne, o przenikliwem, głębokiem widzeniu społecznem, o ludzkiem sercu i wielkiej odwadze, którzy w obronie ludu powiedzieli słowa złote, zapisali się wiekopomnie jako rycerze sprawy poniechanej, sprawy

chłopskiej. Jest Frycz Modrzewski, Skarga, Kołłątaj, Staszic.

Są, ale co o nich, o opiekunach swych, wie chłop dzisiejszy?

Pisał ongiś Mickiewicz »do przyjaciół galicyjskich«: »Pisma, które krzepią ducha narodowego, rozrzucać ile możności po kraju... zrobić naprzykład wybór pieśni z kantyczków, w których jest pełno wspomnień narodowych. Przedrukować w jak największej liczbie egzemplarzy »Śpiewy« Niemcewicza, »Pamiętniki« Kilińskiego, »Pamiętniki« Różyckiego, skrócenie »Pamiętnika« Dembińskiego.

Myśmy i w tym zakresie — jak w tylu innych — głębokiej myśli wieszcza nie pojęli, nie wykonali.

Tem mniejszą więc żywić można nadzieję, że podejmie się i dokona w czasach dzisiejszych zamierzenie w dziedzinie troski o jednolitość duchową narodu — ogromnie doniosłe. Trzeba zaś koniecznie i jak najrychlej wydać, wstępami i objaśnieniami ludowi udostępnić i rozrzucić po wsiach szeroko — dzieła dawnych obrońców ludu. Trzeba wystawić świadectwo prawdzie, że i za najgorszych czasów, kiedy sobkostwo i zawziętość ucisku królowały nad Polską, że i wtedy byli przecież w narodzie ludzie czujący, byli jasnowidze, co chcieli lud polski z roli mierzwy społecznej — wynieść ponad poziom.

A że prawda, że słowa słuszne, sprawiedliwe, nie zawsze zwyciężają, to jeszcze sprawy dobrej nie przesądza. Utwierdzi jednak w chłopie przekonanie, że był on przecież czynnikiem życia polskiego, że o niego dbano, że nie każdy potyrał nim jak sprzętem roboczym, rzeczą oddaną tylko na wyzysk. Nadbuduje się w ten sposób na wsi tradycya polska, nawiąże osobista łączność z wysiłkiem ogółu narodowego w przeszłości i teraźniejszości. A o to przecież głównie chodzi.

Konieczność obudzenia na wsi żywej tradycyi polskiej — to tylko jedna ze ścieżyn troski o wewnętrzną jedność narodu. Dróg jest wiele, tylko musi się ich szukać, nastawić pragnącą uwagę na ich odkrycie i wyzyskanie; tylko trzeba cel widzieć i godzić z nim środki, i ramiona mieć ochotne do pracy. Celem tym zawsze: wytworzyć w Polsce świadomość faktycznego stanu,

...że taki wielki naród — z jednej bryły,
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie.

(»Kuryer lwowski«, nr. 37, 39, 41 z 24, 25, 26 stycznia 1912 r.).

STANISŁAW WITKIEWICZ JAKO WYCHOWAWCA NARODU.

Są wniebogłosy — bo są przemilczenia.
C. Norwid.

Ilekroć myślę o St. Witkiewiczu, zawsze nasuwa mi się pewna uporczywa, natrętna asocyacya. »Dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż«, chłodne, nagie mury sceny, a na niej ciemny, ruchliwy tłum. Z »Wyzwolenia« Konrad z maskami. Scena nienapisana. Środkiem, wśród skwapliwie rozstępującej się ciżby, toruje sobie drogę Konrad: »waży myśl«. A naokoło chybotliwe, nachylające się ku jego twarzy postacie. Rodzącą się myśl, pierwszą jaskółkę czynu pochwycić, wydrzeć ją z rysów twarzy!

Śledzą ciekawie; a kiedy nurt uczucia zatarga silniej piersią, wypręży mięśnie, wywoła odruch bolesnego załamania dłoni, twarz skurczy cierpieniem — maski cofną się w pobożnem skupieniu,

zastygną w podziwie: oto przedziwnie piękny gest, niebywała linia postawy, dostojna piękność!

Oklask! Burza oklasków!

Konrad się oburza, wybucha gniewem, wręcz rzuca obelgę, jak uderzenie pięścią między oczy: »warchoły — to wy!«. Ale i to zamienia się czemprędzej w walor estetyczny, maski uskakują, cios uderzył w próżnię.

Ale Konrad to niepoprawny polski optymista. On w maski — — wierzy! Gdy ktoś nieostrożnie wyrzekł pytanie o c z y n — Konrad rzutem człowieka tonącego chwyta to: »Aa! pytasz nareszcie, c o m a m c z y n i ć?!«

Śmieszny Konrad! Nie dostrzegł, że to było r e t o r y c z n e pytanie i z odpowiedzią się pokwapił. A to tylko kostyumu jednego zabrakło w rekwizytorni teatru! On go przyniósł, przyniósł ś p i e w y o c z y n i e. On czynić chciał, a zapomniał, że jest na deskach, gdzie się theatrum polskie odgrywa, zapomniał i — — wyszedł z roli! A był z niego »actor« doskonały! A tak!

Śmieszny Konrad. Zapomniał, że wokół są ludzie, co g e s t jego przyszli widzieć, grę śledzą, a on c z y n i ć przyszedł.

Wypadł z roli.

No, niech się pocieszy, nie będzie sam. »Wykolejeńców« takich mamy w historyi polskiej legion. Jest tam i Mickiewicz, Słowacki i inni. Actores!

Natura zesłała tu ich n a ś p i e w a n i e, a oni co? Jeden

> myślał rzeczy uczynić szalone,
> Wami założyć nowych narodów początek.

Drugi »t r a c i ł« czas i talent na zdobycie w sobie godności »duchowego kapłaństwa«. A mogli byli pisać książeczki wcale piękne!

Pomyłka, drobiazg. Wypadli z roli. Przeto dziś naród zatroskał się srodze, iż to wodzowie jego tak pobłądzili! Ludzili się.

Wypadek to nie wyjątkowy, nie specyficznie polski, ani europejski nawet. Jedno z wydarzeń, dokonywujących się »w szerszym zakresie«. Czas i miejsce obojętne. Dokonywa się może zawsze i wszędzie, może codzień i w nas samych.

Wypadek — możnaby nieco patetycznie powiedzieć — ogólnoludzki. Jest to naprawdę ciekawy fenomen, w którego oblicze zajrzeć niekiedy nawet warto.

> W tym akcie maski znaczyć mają
> Takich, co myśl swą ukrywają.

Maski to my, przeciętność polska. Drobna tylko poprawka. M y ś l i my nie ukrywamy, owszem, niesiemy przed sobą, na czele, pilnie bacząc, iżby jej przypadkowo nie przeoczono. Ale my kryjemy, skwapliwie osłaniamy dusze, ten mianowicie jej zakątek, gdzie się rodzą pobudki czynów, skąd wy-

rastają korzenie postępowania, życia całego. »Niech na całym świecie wojna«, bylem ja na t e j grzędzie sam się rządził, bylem miał swobodę tak postępować, jak m n i e lepiej — oto zasada. Ktoby gospodarzyć mi tu chciał — wyświecić intruza!

W tę to komórkę chowa się odwieczny, niepołomny egoizm ludzki, nieprzebytymi zasiekami zawala dostęp. Wyrafinowany ten typ obłudy zdobywa się na przedziwne sposoby obrony. A ze wszystkich najniezawodniej wypróbowanym — to maska. Uskoczyć przed zamachem w bok. Siły Herkulesa nawet rychło się wyczerpią, gdy mu walczyć przyjdzie z próżnią. Najwyższe potęgi Prometeuszów tak się stargały.

Maska różne ma oblicza. Jednem: — przemilczenie, nibyto niedostrzeżenie przeciwnika. Niezrozumienie, śmieszność — oto dalsze przejawy tej samej kategoryi. Przykłady aż się proszą pod pióro.

Ot, choćby Mickiewicz.

Dopóki pełnił zbożny trud p o e t y, pisał dzieła artystycznie wielkie — w chwale był u narodu. Przyszedł jednak czas, kiedy zaczęło to mu nie wystarczać. Widząc ciężką niedolę emigracyi, szukając drogi ratunku, napisał i bezpłatnie rozsyłał wygnańcom broszurę: »Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego«. Ale że zdarzyło mu się tam nawoływać do pracy nad sobą, do »rozszerzenia i ulepszenia dusz«, przeto wystąpił czemprędzej w swej

obronie zamaskowany, leniwy egoizm, ludzka inercya walkę przyjęła. Walkę olbrzyma z żółwiem.

Książkę sercem, krwią pisaną — zignorowano. Poza kołem najbliższych cicho było o niej na emigracyi, jak cicho jest jeszcze dziś w szkołach polskich. A kiedy pod koniec życia rzucił pióro i stanął do ciężkiej nad sobą roboty, żeby »dzień dobrze przeżyć«, — czołobitni wielbiciele jego artyzmu, widząc, że zamilczenie tu nie pomoże, otoczyli go zwałem oszczerstw, zarzutami i dziwactwa, niezrozumiałości, śmiesznością wreszcie. I znowu lat i trudu wiele poszło na walkę z maskami.

A po śmierci wieszcza przyszedł tej tragikomedyi ludzkiej akt ostatni. Trumnę zarzucono czemprędzej wieńcami uznania, żałoby, zagłuszono okrzykami podziwu, niby-czci, rzetelnie, żeby tylko nie dosłyszeć z poza trumny, z za grobu tego głosu, który do dusz woła: bądźcie prawi, uświęćcie życie! Do dziś dnia tego w Polsce nie dosłyszano. Ale uwielbienie dla poety jest. I gra się dalej ucieszne theatrum: bohaterska obrona zagrożonych placówek egoizmu.

Zatrzymałem się nad miarę nad tym ciekawym zresztą fenomenem, ale on pozwoli wprost przejść do wypadku Witkiewicza. Bo oto tu ta sama *incipit comoedia.*

Był czas, kiedy nazwisko to należało do najgłośniejszych w Polsce. Odmieniano je na wszystkie

przypadki, pisano, gadano. Witkiewicz był u publiczności »w łasce, w łasce, w łasce«. Był świetnym polemistą, prekursorem odrodzenia sztuki, twórcą w dziedzinie s z t u k i przedewszystkiem. Groźnym nie był nikomu.

Aliści odmieniło się to wrychle. Witkiewicz osiadł w Zakopanem, zamiast malowanych problemów — szukać począł ludzi żywych, ich doli — niedoli, a kiedy przeznał, w czem istota niedoli, *unde gignitur malum*, kiedy, w serca ludzkie uderzając, chciał arcydzieła życia dobrego tworzyć — zdumiały się rozestetyzowane pięknoduchy. Miałżeby to być nowy »nastrój«, dreszczyk świeży? Znowu jeden apostoł pozujący? Czemuż nie mówi nam o sztuce, artyzmie, ale o życiu? Moralizator! Wyszedł z roli oczywiście!

Witkiewicz został w świadomości polskiej zdyskredytowany z kretesem. Spotkał go los, jako spotyka zawsze śmiałków, którzy odważą się zażądać od serdecznych swych bliźnich trudu jakiegoś, o f i a r y, a już Boże broń, ofiary ze smakowitego naszego egoizmu.

Dziś się nieomal zapomniało, że gdzieś tam, pod zimnemi skałami Tatr, żyje taki »dziwny człowiek«, dusza jakaś nie dzisiejsza, krystalicznie czysta a bolesna. Zatroskana twarz jego znikła nam z pamięci. Otoczył go spokój, w jakim żyli może święci samotnicy, dalecy od rozgwaru świata; spokój pustelni.

Myśmy o nim bezmała zupełnie zapomnieli; staje się dla nas zwolna jakimś człowiekiem niedzisiejszym, ponadczasowym, urabia się wokół niego atmosfera legendy. I zadziwimy się może kiedyś, gdy go nam zbraknie — żył-że to naprawdę taki człowiek współcześnie? A ten wyraz zdumienia na twarzach przypomni sobie podobny moment: kiedy to naród po śmierci Wyspiańskiego tak długo nie mógł się zoryentować w zdumieniu niebywałem: — czyż to nie zmarł był człowiek prawdziwie »odwrócony od dzisiejszości«? Nie pomyślano tylko, że to może dzisiejszość tak dyametralnie o d n i e g o odwrócona była! I dziś jest nam już jakiś odległy, daleki.

Wypadek podobny zachodzi i wobec Witkiewicza. Nieliczni są w Polsce, dla których to nazwisko jest symbolem jakichś rzeczy wielkich, u których budzi przycichłe odczucia, daleką tęsknotę odrodzenia, pozywa do twardego czynu dla jutra, przyszłości. Czynu w s o b i e przedewszystkiem.

Ale może przecie niekiedy zatrzepoce się pod oknami podtatrzańskiej koleby-pustelni takie proste uczucie szczerej czyjej wdzięczności, może zalecą dziękczynne słowa czci głębokiej dla tego, który czyni światłość, miłość sieje w duszach ludzkich. Chciałbym, by i poniższe uwagi były takiem kornem przypadnięciem do kolan, takiem »cichem stóp pocałowaniem« dla człowieka, któremu tak ogromnie wiele zawdzięczam, który mi był jednym

z nielicznych moich prawdziwych nauczycieli życia.

* * *

Już tu, u wstępu, zastrzedz się muszę, że nie mam zamiaru mówić o całym ogromnym splocie zagadnień, jakie się wiążą z dźwiękiem nazwiska Witkiewicza. Żeby ogarnąć całość jego dorobku dla kultury polskiej, trzebaby mieć tak rzetelną uprawę umysłu, tak szeroką skalę wrażliwości, jaką się dziś w Polsce poza nim rzadki poszczyci. Trzeba objąć i przetrawić w sobie ostatnich kilka dziesięcioleci artystycznej kultury europejskiej, z którą jego działalność w Polsce stała w związku, a przedewszystkiem trzeba mieć tak czujne, wnikliwe »baczenie« na wszystkie przejawy życia narodowego, któreby dozwalało dojść wszędzie w jego ślady, rozsądzić każdą sprawę, którą mu troskliwa wobec narodu odpowiedzialność każe podejmować.

Jest to nie najpośledniejszem chyba powodem tego uderzającego przemilczenia o Witkiewiczu, że mało jest ludzi, którzyby odważyli się g o d n i e o nim mówić. Ja chciałbym tutaj uwydatnić takie tylko strony, wobec których dotychczasowe przemilczanie jest zdrożne, jest społecznie szkodliwe. Więc pominę tu nawet jego uparte, heroiczne wysiłki podnoszenia dusz przez e s t e t y c z n e w y c h o w a n i e, pracę żmudną i niewdzięczną nad

ogarnięciem szerokich mas z »wyższego« i tych z »niższego zagona ludzkości« przez wzniosły, oczyszczający powiew piękna, sztuki. Wszystko to, jego kolosalne zasługi wobec »sztuki i krytyki u nas«, wobec s t y l u z a k o p i a ń s k i e g o, wobec popularyzacyi dzieł sztuki w »Wędrowcu« i »Kłosach«, czynione niezależnie a z tak dużą zbieżnością z pracą Williama Morrisa i Ruskina, wszystko to są dziedziny szerokie, czyny, które jeszcze wśród nas nurtują, działają, są w atmosferze czasu niejako. Stąd trudność przejrzenia ich ogromu; za mała od nich odległość.

Ta jednak dziedzina jego działalności jest znana u nas mniej więcej. Ale wobec zasady chytrego ignorowania wszystkiego, coby mogło być groźne obłudnemu egoizmowi, głucho o drugiej, ważniejszej może, połowie c z y n u Witkiewicza, o jego trosce nad wychowaniem narodowi czystych dusz. Dlatego o tem trzeba mówić »głośno i z krzykiem«.

* * *

Witkiewicz jest malarzem, artystą. Zobaczymy, że w rozważaniu jego wartości, jako wychowawcy narodowego, moment to ogromnie doniosły. Sztuka jest jednem z łożysk wypowiadania się duszy ludzkiej z głębokiej, przeogromnej tęsknoty za pięknem, za wszystkiem, co leży gdzieś u kresu roz-

wojowej linii ludzkości, za ostateczną doskonałością. Gdy kres ten zostanie osiągnięty przez ludzkość, tęsknota ukojona, gdy doskonałe piękno ogarnie wszystkie dziedziny przyrody i życia ludzkiego, — sztuka, jako wyraz oczekiwania tego stanu, zniknie, wsączy się w całość bytu, zatraci istotę, odrębność swoją. Doskonale pięknem stanie się życie, arcydziełem w pełni cudownego piękna odczuwanem — wszechświat.

Jest rzeczą osobliwą i godną podkreślenia, że najwięksi polscy artyści widzą jasno tę doczesną rolę sztuki.

Mickiewicz rzucił poezyę, bo ujrzał przed sobą szeroki łan pracy, bo stanął do tej pracy, która uczyniła życie jego najcudowniejszym »poematem dla Boga«. Powtarza on w jednym z wykładów w Collège de France za St. Martinem, że człowiek nie powinien pisać wierszy, nie uczyniwszy wprzód cudu. Sam też podjął robotę dla spotężnienia sił duszy swej aż do godności cudotwórstwa.

Człowiekowi, który dojdzie do takiego poznania celów i kresów sztuki, staje otworem jedna tylko droga: uczynić tęsknotę swoją, wypowiadającą się dotychczas artystycznie, tęsknotą twórczą, podjąć cięższy trud, stanąć w szeregu pracowników, przybliżających tę epokę doskonałości, Królestwa Bożego, urobić duszę własną na

miarę tej przyszłości, zrealizować w sobie tęsknotę swoją.

Tutaj rządzi zasada Mickiewicza: »lepiej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę«. Na tem też poziomie zatrzymał się Słowacki:

> Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
> Serce rozbiję... miecz, jak drzazgę, złamię,
> Sławę rycerza od siebie pomiotam,
> Koronę zrzucę — krzyż wezmę na ramię:
> Tylko niech sobie tym dniem zarobotam
> Wieczyste światło... i to złote znamię,
> Które się w Bożem Królestwie pokaże,
> Zmartwychwstającym kościom złocąc twarze.

Ale roztwierają się stąd horyzonty dalsze. Artysta nie zatrzymuje się na uświadomieniu i wypowiedzi swojej tęsknoty do przyszłego piękna, poprzez artyzm normuje się też stosunek jego do otaczającego go światła, do współżyjących z nim ludzi. I więcej jeszcze. »Dusza artysty musi mieć w sobie cały świat, który ma się w jego dziełach objawić... Wszystko, co stanowi elementarną siłę życia zbiorowego, co stanowi ducha narodowego, co wstrząsa milionami dusz i prowadzi je gdzieś w niezmierzone otchłanie czasu, ku ledwie przeczuwanym kresom i nadziejom — to wszystko musi drgać w duszy artysty. Musi on być obecnym na wszystkich Golgotach, na których krzyżują proroków, na wszystkich wyłomach, na których walczą nowe idee ze staremi, we wszystkich bitwach

myśli i oręża, wszędzie, gdzie się przejawia życie, którego objawieniem jest jego sztuka«. (St. Witkiewicz).

A możnaż sobie wyobrazić żywego człowieka, któryby, czując wszystko w swojej duszy, mógł zadowolić się tem, że on to wszystko może namalować, wyśpiewać jedynie? Któryby nie był zmuszony wprost wewnętrznie, by samemu stanąć na tych Golgotach, by stanąć na wyłomie do czynnej walki? Trzebaby na to chyba człowieka o przetwórczym jakimś mechanizmie zamiast duszy. Prawdziwy, wysoki twórca być musi równocześnie człowiekiem czynu, twórczość artystyczna wyrasta z tego samego materyału psychicznego, co i czyn. Są to może dwa łożyska, ale nurt płynie niemi ten sam. »Lituania« staje obok przedziwnego bohaterstwa Trauguta, »Kazanie Skargi« obok najświetniejszych wypraw wojennych. Uświadomić to muszą sobie ci, którzy tak gwałtem rehabilitują »poetę« Mickiewicza »legionem« włoskim, czy rokiem 1855, Słowackiego wyprawą do Poznania w r. 1848. Ale kwestya ta za szeroka, by tu była wyczerpana.

Jest faktem, że wartości wewnętrzne, tworzące sztukę, przelewają się i w życie twórcy, formują je.

Jeżeli tedy organizacya artystyczna zmusza kogo do ogarnięcia tak ogromnego zakresu życia, to taki artysta okazuje w życiu niesłychanie wielki zasób czucia społecznego, staje się sercem swego

pokolenia. Prawdziwy artyzm, ogarniający całość zjawisk życia i poczucie osobistej odpowiedzialności za to życie, związane są ze sobą nierozdzielnie. Odpowiedzialność to już nie za siebie jedynie, jak to było na stopniu pierwszym. Na tym poziomie stanął ten, który jaśnieje na szczycie życia polskiego — Mickiewicz, stanął na nim i Stan. Witkiewicz.

Osobista odpowiedzialność za życie współczesne — oto najwyższy stopień obywatelskości, do którego dochodzi się długo i znojnie. Odpowiedzialność taką postawiły przed oczy Witkiewiczowi może proste i ciężkie słowa zapytania górala: »jako ja się mam utrzymować, cobym był człekiem cywilizowanym, a przecie chłopem polskim ostał?«— postawiło mu w każdym razie zżycie się z ludem.

»Jako się mam utrzymować« — oto problem. Otworzył on Witkiewiczowi ogromne obszary zagadnień »w wyższym zakresie widzenia«. Uświadomił mu tę oczywistość, »że granicami Ojczyzny są ludzkie dusze, że są one jej siłą i słabością, że w nich się mieszczą pierwiastki jej bytu i jej śmierci, że tylko od tego, jacy są ludzie, zależy to, co się stanie w losach narodu«. A jestto ten sam szczebel, na którym zatrzymała się też świadomość Mickiewicza.

Od postawienia takiego problemu do jasnego, beztrwożnego zdobycia jego rozwiązania — droga daleka i żmudna. Wiedzie poprzez twarde głazy przemagania w sobie oportunizmu, przez trud wyłamania własnej duszy w kryształ czystego człowieczeństwa. Witkiewicz ten trud podjął.

Żeby dojrzeć jego koleiny, warto zestawić jego opowiadania »z Tatr« wcześniejsze (np. »Na umarcie«, »Jędrzej Cajka«, »Zośka Galicka«), zestawić choćby to, co pisze w tomie »Na przełęczy« »po latach« — z tem, co w tymże tomie jest przed laty pisane, a zobaczy się wyraźnie linię ewolucyjną, po której się wypowiadała dusza Witkiewicza, zobaczy się wzrastający kąt tej wrażliwości, poprzez którą patrzy on na świat i sprawy jego. Dusza człowiecza, jej dola-niedola, jej teraźniejszość i przyszłość przykuwa, czaruje coraz bardziej jego oko, uwagę całą. Opanowuje go zagadnienie człowieka. Ale trzeba już tu zaznaczyć, że równocześnie nie zagasa w nim wrażliwość na zagadnienia piękna, sztuki.

Witkiewicz jest malarzem — nie jest to fakt obojętny. Sztuka jego obroniła go przed niebezpieczeństwem skostnialego doktrynerstwa, którego tak blizki jest każdy, kto podejmuje trud wychowawcy.

Widzenie malarskie, dociekanie nieubłaganem okiem w naturę »s a m ą w s o b i e«, wszechczujna wrażliwość malarska, która nie pozwala

jemu, artyście, przejść koło zjawiska-człowieka, czy natury — obojętnie, obroniły go dobroczynnie przed zdrewnieniem wewnętrznem, przed formalizmem, który mierzy wszystko i wszystkich twardym łokciem swojej doktrynki. Stąd słowa Witkiewicza nie są suchym klekotem moralizatora, ale mają w sobie moc żywej, wszystko czującej miłości, jaką mieć musieli apostołowie i św. Franciszek z Asyżu. Czuć pod ich korą tętno krwi serdecznej. Pod każdem zjawiskiem artystycznem czy społecznem widzi on nie suchą ideę, ale żywego, czującego człowieka.

Nic chyba nie illustruje lepiej powyższego sądu, jak opis nocy i świtania zimowego w Tatrach (»Na przełęczy« str. 128—9). Witkiewicz, któremu we współ-życiu, współ-czuciu z przyrodą najwięksi jedynie mistrze dorównają, który ma jakąś dziwną radość roztapiania się wprost w ekstazie, a równoczesnego dochodzenia przenikającem widzeniem najwnętrzniejszych, tajemnych cudów przyrody — osiągnął tu szczyt artyzmu. Opis jego przykuwa, najdosłowniej przykuwa do siebie, człowiek poprzez kolumny liter błądzi zachwyconemi oczyma po niewidzianych dziwach tatrzańskiej przyrody, za nic nie oderwie się od kartek książki, by natrętny, brutalny widok bruku miejskiego nie przesłonił mu tych przepychów, w które się wtulił, wrósł spragnioną duszą. Jest się niewolnikiem doskonałości słowa, które »błyszczy jak

mozajka, śpiewa jak słowiki«. Nagle opis się kończy krótkiem, urwanem, ciężkiem zdaniem: »Ale poza tym cudem są ludzie, którym zimno...« W tej chwili doznać się musi wrażenia człowieka, który, stojąc na szczycie Giewontu, oderwał »zcudowane« oczy od widoku wschodzącego słońca i spojrzał w rozwartą u stóp przepaść Strążyskiego wąwozu.

Widzenie artystyczne Witkiewicza jest źródłem i fundamentem jego »c z u j ą c e g o w i d z e n i a«. Artyzm utrzymuje subtelne, delikatne czułki jego duszy w ciągłej żywotności, zapewnia miłości jego ustawiczny dopływ z wiecznie żywego źródła. On to nadaje mu ową dobroczynną, miękką ciepłotę duszy, mającej dar ogarnąć i uciszyć boleść wszelką, słowom zaś jakąś błogosławioną, kojącą dobroć czyichś ukochanych dłoni na stroskanem czole.

*

* *

Witkiewicza takiego, jaki nas tu obchodzi, wychowało w przeważnej mierze Zakopane. Z placówki zwycięskiej, z wiru walki o »s z t u k ę i k r y t y k ę« — przyszedł był tu, gdzie miał z czasem wykować w sobie moc nowego rycerstwa — o człowieka. Spragniony wolnego, polskiego powietrza, bezpośredniego, niesfałszowanego piękna najczystszej próby, niepokalanej, królewskiej przyrody Tatr, szukając zdrowia wreszcie — znalazł tu wszystko to, a zarazem i więcej jeszcze. Na tle potężnej, w surowe piękno przebogatej przyrody nie zatracił mu się — owszem, zarysował wyraźnie — człowiek, »prosty góral«, wykwit najdoskonalszej chyba w Polsce rasy ludzkiej. Przedstawicielem jego najwyższych naówczas dla Witkiewicza wartości był »ojczyk« Sabała. »Stosunek mój do zjawisk tatrzańskiego życia w owym czasie był, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie artystyczny, za malarski — jak mówił prof. Chałubiński«. Ale stosunek ten począł się gwałtownie zmieniać.

»My wszyscy, którzyśmy zetknęli się ze starem pokoleniem górali, którzy jeszcze nie przeszli przez szkoły, przez wojsko, a niekiedy i przez kościół, zdumiewaliśmy się wytrwałością obyczajową, pojemnością i lotnością inteligencyi, szybkością pojmowania, zdolnością wnioskowania i świetnem formułowaniem myśli — całym splotem najcenniejszych przymiotów umysłu i obyczaju. Góral w tym stanie surowej rudy, nie przetopionej i nie przekutej, sam, jako rasa, jest czemś bardzo cennem, jest istotą ludzką wyższego typu«.

Zdawało się tedy, że, operując takim doskonałym materyałem ludzkim, w kraju tak cudownym, wśród niezmierzonych, olbrzymich bogactw tego, co stanowi warunki zdrowego życia, w oceanie czystego powietrza, śród niewyczerpanych źródeł żywych wód, na ziemi czystej, nie przesiąkniętej żadnymi miazmatami — że tu da się wytworzyć jakiś wyższy, doskonalszy typ ludzkich stosunków,

środowisko wyższych dążeń i form życia, promieniejące na resztę społeczeństwa. Słowem — blizką urzeczywistnienia zdawała się jakoby zapowiedź *aureae aetatis*, gdzie obce będą sercu ludzkiemu *fraudesque, dolique, insidiaeque et vis et amor sceleratus habendi.*

Wszystko to runęło. Do Zakopanego napływać zaczęła »wyższa cywilizacya«, całe »życie dólskie«, ludzie z wielkich centrów »kultury«, a w ślad za nimi »cała skomplikowana machina życia wielkich skupień i cały warchoł egoizmów, żrących się na tej nowinie społecznej, egoizmów, które do zrównoważenia doprowadza brutalny strychulec życia, podcinając jedne, zaspokajając inne i stawiając ponad zasługę i wartość — p o w o d z e n i e«. Rozwiały się marzenia!

Ale ludzie takiej organizacyi psychicznej, jak Witkiewicz, po klęsce nie załamują rąk, mają odwagę zejść w samą głąb wydarzeń życia, poszukać najbardziej ukrytych sprężyn, przyczyn zjawisk — i jeżeli potrzeba, zacząć budować od podstaw. Witkiewicz zeszedł aż na dno ludzkiego istnienia, do źródlisk ludzkiego czynu; tam pod odmętami znalazł garść pereł dziwnej piękności i poszedł w ludzi, by ich niemi obdzielić. Zanim poznamy oblicze tej ostatecznej zdobytej prawdy, przejść musimy cały zakres dorobku jego długich, utroskanych godzin dumania.

* * *

Witkiewicz doszedł do godności stanowienia o narodzie — poprzez lud. I oto już tutaj zaszła konieczna potrzeba usunięcia całej gromady zasieków, zburzenia chińskich murów nieporozumień, namulonych ławic złej woli, uprzedzeń. Zagadnienie sprawy ludowej wobec teraźniejszości i przyszłości narodu jest do dziś dnia jednem wielkiem nieporozumieniem. Rzecz »ogromnie przez to smutna«.

Tragiczne dzieje końca XVIII w., będące wyrazem politycznego bankructwa wyższych, rządzących w Polsce sfer, zmusiły naród do natychmiastowej zmiany oryentacyi. Fale wypadków wysunęły w jednej chwili na stanowisko o s t o i narodowej ogromne masy, tłum o obliczu tajemniczem, niezbadanem. Ale to było *ultimum refugium.* Przeto ośrodkiem tęsknoty narodu w XIX w. stała się polska wieś. I jest nim do dziś dnia. Do dziś dnia drgają w duszy polskiej tony głębokiego, nieukojonego utęsknienia: »Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostałemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej, nie mój, ani twój, ale nasz ojczysty?... Zaklinamy lud polski, żeby świętą koronę z cierni, zeschłej krwi i bezcennych wersetów po naszemu uczcił i po swojemu do piersi przytulił«. (M. Zych.). U podstaw wszelkiego polskiego problemu stoi polski chłop.

Ale wieś tę i tego chłopa trzeba było budzić,

»uświadamiać«. I są do dziś dnia trzy metody, trzy wprost typy zachowania się wobec ludu. Pierwszy to »zniżenie się« do niego z jakiegoś niby podniesienia, z wyższych szczebli, ażeby się zaopiekować, ale i oprzeć się na nim. Drugi wiedziony wysoce demokratycznem uczuciem litości nad niedolą. Trzeci bierze chłopa jakim jest, bez wyższości, bez ckliwej litości, a z zawadyacką pewnością, że »w n a s jest jesce dusa, co sie z fantazyją rusa« — że lud — to wszystko, że taki, jak jest — dźwigać będzie indygenat królewski.

U dna tych wszystkich przeszłych i przejściowych prądów ludofilstwa jest jeden motyw wspólny, który zostawia w narodowej świadomości pewien osobliwy osad. Jest oczywistym, a przecież niedostrzeżonym jeszcze faktem, że między tymi typami »ludowców« a chłopem stoi niespotykane nigdzie indziej zjawisko, jakaś mistyczna, uparta wiara, że o t o jest ten oczekiwany, wytęskniony, który przyjdzie i zbawi nas. Naprawi, cośmy nabroili, odrobi, cośmy zaniedbali, on — Lud.

Tęsknota lat przesłania nasze oczy jasną poświatą, może to łzy tak tęczują promienie naszego widzenia, dość, że żyje na dnie wszystkich dusz polskich niemotywowana, rozpaczliwa wiara w lud-zbawiciela.

Są w tem zjawisku dwa elementy składowe. Pierwszy to bądź co bądź poczucie niemocy, słabości, poczucie, że bez niego sami nic nie zdołamy.

A powtóre — przekonanie, że »m y« i »o n i« to coś całkiem różnego, to dwa odrębne światy. Więc choć u nas marne jest, podłe życie, liche dusze, za to t a m wszystko inaczej, t a m leżą całe pokłady drogocennego, nienaruszonego kruszcu, uczuć, czynów. To »t a m« identyfikuje się jakoś z armią »śpiących rycerzy w Tatrach«. Niech-że jeno zagra złoty róg, a wstaną i pójdą, jak wicher...

Mistyczna taka wiara, choć jest na dziś wynikiem może krzepiącym, zbudowana jest na przesłonięciu oczu. A oko polskie beztrwożnie spojrzeć musi w przepaście nędzy bytu, iżby dojrzało, gdzie można trwale, niewzruszenie budować. Niedopatrzenie zawsze się mści zawodem... Tu oto tkwi pierwsza, nieobliczalna zasługa Witkiewicza. On te dziedziny przejrzał śmiało i prawdę wręcz wypowiedział.

N i e m a r o z d z i a ł u n a »l u d« i »i n t e l i g e n c y ę«, n a w y ż s z y i n i ż s z y z a g o n l u d z k o ś c i. J e ż e l i j e s t, t o j e s t s z t u c z n y i n a f a ł s z u s i ę o p i e r a.

»To, co stanowi odrębność ludowego istnienia, to są, poza warunkami ekonomicznymi, pewne zewnętrzne normy stosunków, pewne formy obyczajowej kultury, pewne pojęcia umysłowe, które się przeciwstawiają podobnym zewnętrznym warunkom, określającym odrębność innych klas społeczeństwa. Dusza człowieka z ludu jest w gruncie identycznie ta sama, jak dusza człowieka z arysto-

kracyi, lub mieszczaństwa. Człowiek z ludu oddany jest na pastwę tych samych pragnień i namiętności, tych samych nadziei i zwątpień, na pastwę tych samych niemiłosiernych praw bytu, co ludzie innych warstw społecznych. Różni się tylko pojęciami, nie różni się uczuciami«.

Jest to najdonioślejsze z »odkryć«, jakie u nas na polu społecznem poczyniono. Powinno ono było sprowadzić fundamentalny przewrót metod prac politycznych i oświatowych. Że się to nie stało, jest to z jednej strony dowód, jak trudno przyjmują się w ludzkości prawdy, których konsekwencye żądają nieuchronnej ofiary z jednostkowego czy klasowego egoizmu. Z drugiej strony, jest to smutne, choć oczywiste, świadectwo, jak nam daleko jeszcze do kresu...

Walczy się dziś przeciw tej prawdzie frazesem o »arystokracyi ducha«, o »przyrodzonej wyższości« dusz. Witkiewicz pomija 90% sofizmatu, obłudy, jakie w takiem powiedzeniu tkwią, a rozważa owe 10% możliwej prawdy.

»Przyrodzona nierówność ludzi, jako przeszkoda w urzeczywistnieniu sprawiedliwości społecznej, okazałaby się o wiele słabszą, żeby ludzie naprawdę zaczęli poznawać istotną wartość dusz swoich, żeby tej wartości doszukiwali się ponad warunkami, w których ktoś się urodził, warunkami, które mu nadają pewną zewnętrzną formę

i pewien numer w dzisiejszej hierarchii społecznej. W gruncie rzeczy im bliżej się poznaje chłopa, tem mniej go się widzi, tem mniej go jest«. Mówić dzisiaj o przyrodzonej wyższości pewnych sfer wyda się w istocie krwawą ironią. Dziś »na tym niższym zagonie warunki życia są jak niemiłosierne sito, sortujące istoty ludzkie według ich wytrzymałości na najcięższe próby niedostatku i bezrozumnego znęcania się nad niemi. Wszystko słabsze fizycznie, subtelniejsze, wszystko, w czem przeważają pierwiastki intelektualne, w czem palą się głębsze uczucia, wszystko, z czego się tworzy naprawdę wyższa warstwa ludzkości, ginie, nie począwszy żyć, nie mając kiedy się przejawić i nie mogąc doznać rozkoszy życia według porywów własnej duszy. Przypatrzmy się pokoleniom chłopskim, przyjrzyjmy się wyrazowi oczu dzieci i porównajmy z tem, co widzimy u dorosłych, u starych, a ujrzymy jakby przepaść psychiczną, która je dzieli. Z chwilą, w której każdy bierze trud życia takiego, jakie jest przeznaczone dla chłopa, na siebie, gaśnie mnóstwo sił duszy, albo ginie mnóstwo istot, poprostu zabitych przez trud nadmierny, niedostatek i poniewierkę«.

Niech, kto chce, wyczuje z pod tych słów ogrom bólu, poczucia ustawicznie dziejącej się krzywdy, marnowania dusz, sił w narodzie. Witkiewicz wysnuwa stąd prawo: »Sprawiedliwość społeczna wymaga koniecznie postawienia wszystkich ludzi

w jednakich warunkach życia, dla ocenienia ich istotnej wartości, jak się stawia na jednej linii konie u s t a r t u, żeby słusznie ocenić ich rączość w biegu do mety«.

Dziś jest inaczej. »Oto straszliwe następstwa skromnego na pozór faktu, że jeden człowiek rodzi się z tej, a drugi z tamtej strony okna, jak mówi Morris. Dwie ludzkie istoty, jedna bez winy, druga bez zasługi, są fatalistycznie, od urodzenia rzucone na dwa różne bieguny życia, umieszczone w sferze najskrajniej sprzecznych warunków rozwoju i możności czynu. Kiedy jedna, wyzwolona z pod przemocy pierwotnej walki człowieka z naturą, może korzystać z całego skarbu doświadczenia, zdobytego w długim pochodzie cywilizacyi, druga współcześnie żyje w warunkach bytu, przypominających pierwsze chwile epoki żelaza, skazana na zużywanie życia dla odkrywania z trudem rzeczy dawno wiadomych, na bezużyteczne wynajdywanie prochu, którym już oddawna na »wyższym zagonie« strzelają do kaczek. Czy można wartość tych dwu istot mierzyć wynikiem ich życia? Nigdy! Naogół jednak, do dziś, dzieje się jeszcze gorzej, naogół, nie pytając nawet o ten wynik, z góry się wie, kto ten »wyższy«; — oczywiście ten, kto się rodzi w pałacu lub zamku«.

»Nie mówię tu ze stanowiska demokratycznych złudzeń co do bezwzględnej wartości chłopa, nie twierdzę, że on zawsze jest wyższym od pana,

twierdzę tylko, że obaj są sobie równi i że istotna ich wartość leży w wartości wątku, z którego utkane jest ich człowieczeństwo, w wartości ich nagiej duszy, ich czystej indywidualności, nawet nie ich kultury. Widziałem jednych i drugich na szczycie i na spodzie — tu i tam szczęście graniczy często ze świństwem, a nieszczęście z upodleniem, lub naodwrót, w szczęściu widać wspaniałomyślną szczodrość, a w nieszczęściu dumny hart ducha«.

Plącze się w świadomości powszechnej cała litania frazesów, niby dowodów na istotną jakąś odrębność psychiki chłopskiej: wyłącznie chłopską ma być »pasya do ziemi«. Zapewne, między ziemią a chłopem ułożył się przez przeciąg tylu wieków, z długiego wspólnego pożycia jakiś osobliwy związek, łączność wrosła głęboko w duszę. A jednak nie jest to przecie przejaw czegoś nieznanego »duszy pańskiej«. U dna jego leży wspólna dobra znajoma — c h ę ć p o s i a d a n i a, c h c i w o ś ć. Czy kto ma pasyę do ziemi, czy do kasy ogniotrwałej — różnica to niewielka. Chciwość jest chciwością, czy przedmiotem chęci posiadania jest kupa gnoju, czy brylant, świecący, jak gwiazda. Duma rodowa i pycha, pochodząca z bogactwa, rozpiera tak samo pierś Gąsieniców, jak i Zbaraskich«.

Takie rozwalenie sztucznych zapór, murów, niby to dzielących t. zw. klasy — rozszerza zakres

widzenia, wymiata uprzedzenia, daje jasność wzroku, szukającego tężyzny gruntu pod budowę przyszłości. »Człowiek, człowiek, oto co trzeba widzieć w chłopie i w panu, ażeby stracić mnóstwo złudzeń i zyskać wiele nadziei. Traci się złudzenie, ponieważ odpadają arystokratyczne i demokratyczne uprzedzenia tłumów, a zyskuje się nadzieje, ponieważ widzi się iskry dobra, błyskające po wszystkich duszach«.

Jakżeż nam jeszcze daleko do pojęcia tej oczywistości! Chełpliwa obłuda sfer »wyższych« położyła nieprzebyte tamy w każdem drgnieniu świadomości między s o b ą a n i m i. Odmówiono nawet prawa inteligencyi chłopu. »Inteligentnym« jest ten, kto nosi marynarkę i trzewiki, nie jest nim ten, kto chodzi w butach z cholewami i nosi koszulę na wierzchu. »Któż się pokłoni ludzkiej duszy, która się tuła przyodziana w potargane katańsko, pokalane gnojem portki i zdarte kierpczysko, kto naprawdę myśli, że to ta sama dusza w panu, który co dzień zmienia koszulę, i w Wojtku, którego »wsy żrejom«. Gdzie są ludzie, którzy zbliżają się do jednego i do drugiego z tą samą ufnością lub z tem samem uprzedzeniem? Może i są, ale jest ich jeszcze tak strasznie mało!«

Wyższość i niższość dzisiejsza zbudowana jest na bolesnych jakichś nieporozumieniach. Człowiek wyższy, m u s i znaczyć: człowiek lepszy, a dziś co? Osiągnięcie wyższego szczebla w hierarchii jest jedynie zdobyciem wyższych, doskonalszych środków zaspokajania swych instynktów, lapczywego egoizmu. Wojuje się słowem: kultura, cywilizacya! »Wyraz cywilizacya oznaczał obywatelstwo, od łacińskiego słowa *civis* — obywatel. Obywatelem zaś nazwano człowieka, który się poświęcał za ojczyznę swą. Ale potem w bałwochwalczem pomieszaniu języków nazwano cywilizacyą modne i wykwintne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatra i szerokie drogi« (Mickiewicz). A kultura jest-że czem więcej nad strojny płaszcz, który okrywać może zarówno zdrowie, jak i spróchniałą nędzę wewnętrzną? Czyż więc one dają prawo »wyższości«?

Do dziś dnia ludzie, którzy szczerze nawet ludowi współczują, widzą w jego niedoli głównie zagadnienie dobrobytu materyalnego. Zdaje im się, że rozstrzygnięcie kwestyi dochodu równa się podniesieniu poziomu ludzkiego istnienia. »Nędza dusz za mało jest brana pod uwagę w rachunku społecznym, a wyobrażenie, że wyższy poziom posiadania bogactwa odpowiada istotnemu podniesieniu się ludzkiej istoty, doprowadziło do przekonania, że mędrszym, lepszym, więcej wartym człowiekiem można być tylko poza sferą ludowego bytu. To też jednostki, które otrzymywały wyższe wykształcenie, opuszczały sferę ludową, dezertowały z niej i przyłączały się do panów. Były drogowskazem krętych dróg, na jakich się robi

karyery, zdobywa fortunę i znaczenie. Były to najczęściej typy łapczywych egoistów, którzy dorwali się do miski z pomyjami dobrobytu i nie widzą nic ponad to w życiu godnego do zdobywania i posiadania. Dążąc do wydobycia się z szeregów ludowych, walczyli z klasami wyższemi, stawszy się ich członkiem, zwracają się razem z niemi przeciw ludowi, przeciw tym, którzy masowo dążą do zmiany stosunków posiadania«. Zmieniły się środki działania, ale nie zmieniła istota duszy. Bo ta jest na wyższym i niższym zagonie ta sama.

Przechodzimy teraz na wyższy szczebel; wywody poprzednie każą mówić już nie o klasach, ale o ludzkości. Czem ona się rządzi? »Powszechnym fermentem życia jest chciwość i nienawiść — oto istota wszystkich nędz i nieszczęść społecznych i wszystkich tragedyi narodowych«. »Według przyjętego komunału człowiek jest istotą towarzyską i rzeczywiście jest takim, gdyż zbija się w wielkie stada, żyjące jednak w nieustannych walkach na podobieństwo błotnych ptaków, zwanych Bojownikami. Nieustanne napięcie jednostkowych egoizmów, żywiołowe niechęci różnych ras, wstręty temperamentów i usposobień; tworzenie się klas, to jest grup, mających swoje szczególne zbiorowe egoizmy, zaspokajane kosztem egoizmu innych grup; kapitał i praca, mała i wielka własność, handel i przemysł — i jak się to tam wszystko nazywa — ile nazw, tyle ognisk nienawiści, ile grup ludzkich, tyle zarzewi walki. Na każdą myśl, powstającą w czyimś umyśle, czyha myśl przeciwna; przeciw każdemu rzutowi do czynu wznoszą się mury przeciwieństw i hamujące pięście«. Tak jest wszędzie.

Stwierdzenie tego nie jest wypowiedzią literackiego pesymizmu od zielonego stołu, nie jest nawet załamaniem bezradnych rąk, jest ogniem, w którym, jak metale, czyszczą się dusze. Tak jest wszędzie i jest źle. Teraz to dopiero dostrzedz możemy, kogo to trzeba »podnosić«, uświadamiać, zobaczymy ogrom zadania. I nie opadną nam wobec niego skrzydła.

»Wogóle, patrząc jednostronnie na życie dzisiejsze ludzkości, ludzie myślą gorzej o człowieku, niż on na to zasługuje. Twierdząc, że tylko najniższe instynkty chciwości mogą utrzymać energię ludzkiego czynu, nie słucha się tego, co mówi życie, nie rozumie się, że, jeżeli na sto milionów ludzi znajdzie się jeden, który jest w stanie działać i tworzyć, nie szukając podniety w chciwości i zawiści, w żądzy posiadania, to znaczy, że cała ludzkość taką być może. Tylko trzeba dążyć do tego, aby taką była, zamiast — jak dziś — hodować starannie w duszach ludzkich wilka i hyenę, lub ostrożnego i oszczędnego lisa«. Zło jest »z tej i tamtej strony okna«, wymiatać je trzeba nie z duszy pewnych klas, nie z duszy bliźniego, ale ze swojej przedewszystkiem. To jest jedyna droga na-

prawy. »Klasy wyższe muszą naprzód podnieść swoje dusze na istotnie wyższy poziom psychiczny i etyczny, ażeby mogły naprawdę tam z góry podać rękę ludowi«. Rozwój społeczny osiąga się przez kształcenie nie pojęć, tylko uczuć. »Uświadomienie«, »podniesienie« ludu nie dokona się jedynie przez wzmożenie dobrobytu, nawet nie przez oświatę jedynie. Można być człowiekiem dostatnim i oświeconym, a być łotrem. Wszystko, co się ma spełnić w przyszłości, jako faktyczna zmiana stosunków, musi być rozstrzygnięte w ludzkich duszach; bez tego niema postępu. Kto zaś chce »kształcić uczucia« ludu, musi mieć w sobie przedewszystkiem prawo do tego, musi zdobyć »godność stanowienia o Polsce«, musi sam w uczuciach być czystym, odrodzonym. Wtedy to pocznie się cenić człowieka nie według pełności kieszeni, nie według ubrania, ale według wartości moralnej jego duszy. Wtedy ludzie zdołają zobaczyć, co wart Wojtek Gandara, wygnany z gazdowstwa w Murasihlu, a co Napoleon na Elbie.

* * *

Wszystko to, cośmy wyłożyli, nie jest jeszcze budowaniem, jest dopiero wymiataniem śmieci, rozwalaniem zapór, które nagromadziła wiekowa inercya ludzka, fałszywe, obłudne sobkostwo i zła wola. Ale trzeba to było zrobić, nie sposób było

dalej okłamywać siebie, zasłaniać sobie oczy liczmanem jakiejś dwutypowości dusz. Trzeba było pokazać ludziom, że każdy musi wychowywać nie kogoś tam, ale siebie, własną duszę. To zrobił Witkiewicz, i w tem jest jego nieoceniona zasługa.

Ale ona nie wyczerpuje jego dorobku. Są u niego wartości, które czynią go jednym z nielicznych budowniczych na tak oczyszczonym gruncie.

Od czegóż zacząć budowę?

»Jednym z pewników, których uczy historya, jest, że rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie są formy urządzeń, instytucye, tylko jest stan dusz ludzkich danego społeczeństwa. Nic nie pomoże najdoskonalsza ustawa, najstaranniej obmyślany ustrój, jeżeli materyał ludzki jest lichy, jeżeli etyka i umysłowość jednostek, stanowiących społeczeństwo, stoją nizko«.

A oto do dziś dnia, w całej ludzkości »fermentem życia jest chciwość i nienawiść«; chłopska, czy pańska — wszystko jedno, chciwość, egoizm. Z chciwości, żądzy posiadania, żądzy zwiększania posiadłości cudzym kosztem — rośnie nienawiść. Chciwością zatruty jest »wyższy zagon«, nienawiścią przez chciwość zatruwa się dziś lud. »Lud, jako jednostka ekonomiczna, będzie zawsze w przeciwieństwie do każdej innej jednostki ekonomicznej. Będzie dążył — albo jako cała warstwa społeczna do radykalnych zmian społecznych, albo będą odeń odrywać się coraz częściej jednostki,

zdobywające miejsce tam, gdzie jest więcej dobra materyalnego, »ka lekcej i lepiej«. Jednostki te w dzisiejszych stosunkach pójdą po linii najmniejszego oporu, która niezawsze jest drogą prostą«.

A z drugiej strony jest oczywistym faktem obecnej chwili: uznanie mas ludowych, jako rozstrzygającego czynnika bytu. »Z temi lub owemi zastrzeżeniami wszyscy stwierdzają, że lud występuje na widownię historyi, że od sił, które się znajdują w łonie ludu — zależy przyszłość«. Maż ten lud, mając społeczeństwa iść ciągle po linii najwydajniejszego zaspokajania swych egoizmów? »Tak jak cechą życia w naturze jest pokonanie martwej materyi, tak cechą ducha jest opanowanie przyrodzonych popędów organicznych« — kodyfikuje St. Szczepanowski. Cechą i miarą prawdziwej ludzkości jest przezwyciężenie grawitacyi »drapieżnych zmysłów i rozkiełznanych chuci«. »Każdy ruch duchowy cechuje się przewagą celów ogólnych, narodowych, lub społecznych nad celami osobistymi, rośnie ograniczeniem tych potrzeb osobistych« (»Idea polska«). W przyszłość idzie się poprzez ograniczenie egoizmów, chciwości i nienawiści. Takie jest prawo.

Czyż więc stoimy nad przepaścią, my, żyjący wśród orgii jednostkowych i klasowych egoizmów? Nie. »Kto nieśmiertelną ma w sobie istotę, ten czuje, że coś większego ze świata być może« (Słowacki). Wbrew wszystkim krakaniom, wbrew zimnym rachubom, cyfrom, my wiemy z własnego, wewnętrznego doświadczenia, że przyszłość w naszych rękach. Dalekość tego jasnego kresu wzmódz musi odpowiednio natężenie dusz, stających na zagonie pracy o niego.

»Fermentem życia jest chciwość, nienawiść«. Tego się nie zmieni, nie usunie przez łatwe negowanie. Trzeba czynnie, osobiście przeciwstawić zalewowi egoizmów — twardą skałę duszy miłującej, ż y c i e w m i ł o ś c i. Oto jest broń jedyna: »społeczna miłość« ewangeliczna. Zdobycie poznania tej dawno odnalezionej, a wiecznie nowej podstawy operacyjnej między-ludzkiej, możliwość ugruntowania na niej całego życia pokazuje Witkiewicz w dwóch, osobliwem jakiemś pięknem promieniejących obrazkach: »Jędrek Cajka« i »Zośka Galicka«.

C a j k a, któremu przy strzelaniu skał »oczy zwypalowało«, a któremu rodzinę z nędzy wydźwignęło m i ł o s i e r d z i e ludzkie, dochodzi w zaciekłych swoich dumaniach do rozeznania: »cem ludzie żyjom«. Ż y j ą — mianowicie — p o w s z e c h n ą m i ł o ś c i ą.

»Wychodząc z ciasnych opłotków swego bytu, nanizując na tę nić jasnej myśli wszystkie sąsiednie chałupy i coraz dalej sięgając poza swoją dziedzinę, Jędrek widział wszędzie jedno: — niepotrzebną, zgubną wrogość, złą pazderność i głu-

potę, które otwierały naoścież wierzeje nieszczęściu, klęskom, pomstom i karom. A tyle, tyle wszyscy mieli w sobie dobrego! I Jędrek tonął w podziwie nad tym cudnym światem, który ludzie mogą stworzyć, światem, z którego znikało wszystko to, co szarpało boleścią serca i przygniatało niewolą myśli. Nie mówcie nic! Wsyćko to nic nie płaci: ani woda, ani ogień, ani pieron, ani wiater, ani chorość, — syćko nic nie płaci proc tej siły. Kaby ino ludzie sie miłowali, a mieli rozum«.

»Tak wam powiem, samemu Panu Bogu byłoby lekcej żyć, bo by sie nie frasował o kazdom kluskę, cy jom dać, cy ni. Dy wy se pomyślcie, coby to było. Ka sie obrócicie, świat jaze dygoce od miłości, od radości, od scęścia! I nik nie płace, nie jajce, nie banuje, nie pomstuje, nie bije sie, nie klnie i nie boi sie. Cy poźre na niebo, cy na ziem, cy na Tatry, cy na morze, nika nima strachu! Ludzie na świecie! — wołał Jędrek, olśniony swojem widzeniem. — Coby ino nie mieskali, coby nie cekali, jaze ocy zwypalujom«.

Zośka Galicka zaś — to dusza czysta, niedzisiejsza, wyzbyta tego wszystkiego, co żre ludzkość: egoizmu, nienawiści. To jakby zapowiedź przyszłości, ucieleśnione marzenie o nadchodzącym człowieku łaski.

Taką to istotę rzuciło życie nieomal od kolebki w służbę dla najciaśniejszego, najpodlejszego egoizmu, zasłaniającego się interesem »famelji«

Syrków. W niewoli u tej zaciekłej ludzkiej, gromadzkiej chciwości pracowała ciężko latami. Bez winy, przez potworne kłamstwo gazdy dostała się do więzienia. Tam otwarły się jej oczy na życie i na swoją w niem rolę. Zaopiekowała się sierotą — niemowlęciem i wychowanie jej wzięła za cel swego życia na wolności. Spotkała się ze światem. »Nic mając w sobie ani źdźbła egoizmu, odczuwała Zośka tem silniej, aż do bólu, jego kolce, oplątujące całe ludzkie istnienie, kolce, z których każdy wpijał się do krwi w życie, wołając: m o j e. Zośka potrącała się o ten splot stosunków ludzkich, ściągnięty pętami żądzy posiadania, żądzy własności i rozdzierany na chaos żrących się sił wrogich, przez to samo uczucie, którego krzykiem namiętnym, hasłem czynu, był wyraz: m ó j«.

Centrem jej niepozornego życia stało się zagadnienie: jakoby żyć najlepiej. »Zośka była nieuczona i ciemna. Przyświecały jej tylko uczucia, będące istotą przyszłych, szczęśliwych dni ludzkości, k t ó r a k i e d y ś p r z y j d z i e. Czasem, aż się jej mroczyło w głowie od tego wszystkiego i z tego zamętu wyłaniała się niejasna, nieśmiała myśl, że może: — Zbawienie, to ino to, cobyś żył — jako On żył. Ale Zośka nie mogła tego ściśle ująć. Choć było w jej religii odczuwanie tego świata, w którym żył św. Franciszek i jego legendarni towarzysze.

W rozwoju swojej wewnętrznej istoty doszła do

tego punktu, który cała ludzkość musi przejść, żeby módz żyć wyższem życiem, tego punktu, poza którym możliwy jest dopiero człowiek przyszłości, oswobodzony z całego ciężaru walki z lichymi instynktami, nędznemi pojęciami, oswobodzony z tego lenistwa duszy, które przełamuje tem, co nazywa cnotą. Dzisiejsza cnota musi się stać powszednim, pospolitym, nieuświadomionym stanem, żeby człowiek mógł być istotą wyższą ponad siebie; żyć w zupełnej zgodzie z sobą, w zupełnej swobodzie istoty niezależnej.

»Ład« dzisiejszego świata poniszczył owoce bohaterskiego życia Zośki. Wreszcie i ona sama odeszła »cicho, nieznacznie, w dzień powszedni, że ani nikt nie wiedział kiedy«... Odeszła, ale życie jej jest owem »jednem życiem« przez miłość, pośród milionów, żyjących egoizmem i nienawiścią, jest zakładem, niezwalczonym dowodem, że cała ludzkość żyć może jak ona, »jako On«.

Oto odpowiedź na pytanie: jako ludzie mają żyć. Każda dziedzina, każde drgnienie życia zbudowane być musi na Miłości. »Prawidła etyczne, bądź jako wskazówki czynów dobrych, bądź jako środki hamowania złych pragnień i ujemnych czynów, są tylko grubem, ogólnikowem spisaniem sposobów, jakimi się miłość może przejawić w życiu. Bez niej niema etyki, z nią żadna etyka nie jest potrzebna. Przepełnijmy poza brzegi ludzkie dusze m i ł o ś c i ą, a zginą wszystkie nędze, wszelkie zło ludzkiego życia, i nie trzeba będzie uczyć się na pamięć spisu cnót i spisów grzechów. Wydrzeć ludzką duszę z ciemnych ostoi egoizmu i rzucić w blask najbezwzględniejszego zatracenia się w miłości, oto jest cel, do którego dąży etyka chrześcijańska, cel, który jest najistotniejszą treścią całej nauki chrześcijańskiej«.

Słowa te zdają się stare, słyszeli je ludzie od Chrystusa, od apostołów, a jednak jak daleko od wypełnienia jest ich wewnętrzna treść! Tyle wieków, a jakżeż mało posunął się świat w miłości! Czyżby więc naprawdę »Jul. Apostata pomylił się, wołając: »Galilaee vicisti« — pomylił o tysiące lat?«

Tak, stare to słowa, patyną wieków okryte. A przecież one żyją, żyć muszą! Ongiś powiedziano, że są p e t r a, opoką, fundamentem. I takie one zostaną, choćby się zdawał wietrzeć granit fundamentu.

Dziś miłość otamowano zwyczajem i względem ludzkim, wyznaczono dnie osobne, kiedy ma się czynić miłosierdzie, kiedy się »jałmużnę« daje, potworzono komitety dobroczynne, funkcyonujące wobec społeczeństwa, jako ekspozytury tego uczucia, które miało całą duszę ogarniać, rozpłomieniać, a stało się jednym z tych drobiazdżków, świecidełek, jakimi ludzki egoizm zakrywa przed samym sobą swą bezczelnie wstrętną twarz.

Zejdźmy w zabiegi i troski codzienne współczesnego statecznego obywatela, zejdźmy w owe —

strach powiedzieć! — komitety dobroczynne, które zabrały w arendę społeczny obowiązek miłości, i zobaczmy, czy to u podstaw każdego miłosiernego czynu tkwi czysty imperatyw miłości człowieka, czy też nie zagościła i tam wstydliwa próżność, »przebaczenia anielska pogarda«, chytra obłuda, która jedną ręką grosz daje, biorąc 100 ręką drugą. Zejdźmy przedewszystkiem w dusze własne, a zobaczymy najdobitniej tę ogromną nad człowiekiem moc zamaskowanego egoizmu, który, ukryty w każdym zakamarku, wychyla lada chwila twarz swoją, brudząc, niwecząc w człowieku te rzadkie momenty, z radosnego porywu miłości poczęte.

Za długo żył człowiek metodą jaskiniowców, za długo doszukiwał się w każdem stworzeniu albo przedmiotu łupu, albo sobie podobnego dybiącego wroga, albo co najwyżej niepożądanego wspólnika do zdobyczy — żeby się to i dziś jeszcze miało nie mścić. Trzeba to zrozumieć, ażeby, przeglądając ogrom przewalającego się, łapczywego samolubstwa, zachować oko jasne, nie rozpaczać, ale jasno czuć, »że coś większego ze świata być może, niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów, które za jadłem ciągle łażą chciwie. A te są głupie, a te niegodziwe, a te są bliżej, a te dalej krzyża!« I nie rzucać się, nie łamać rąk, nie zawodzić, tylko czynić. »Każdy z was ma w duszy miarę przyszłych granic« (Mickiewicz). Nie reformować świata, nie wyciągać źdźbła z oka brata, ale imać za swoje

bierzwno, wejść w swoją duszę, przejrzeć pobudki swoich uczynków i — »oczyścić dom«.

Mickiewicz gdzieś nawołuje, by święcić rocznice narodowe, czyniąc śluby, że przez ten dzień, przez jeden choćby, nie uczynimy nic a nic dla siebie, nie dla zadowolenia swoich upodobań, ambicyi, zysku, ale oddamy każdy czyn, każdą myśl tego dnia dla braci, dla ojczyzny. Przeżyć w ten sposób choćby jeden dzień! Niech kto sprobuje, a zobaczymy, ile na to trzeba wytrwałości, niebywałego bohaterstwa. Otóż trzeba mieć ciągle przed oczami, że bez takiego całego życia — nas nie będzie, że tędy nam jedyna droga. Nie tylko nam, wszystkim ludziom. I Witkiewicz na takie to trudy wzywa. Kto ma odwagę, niech stanie przy nim. Ale takie stanięcie, to już obowiązuje na życie. Dzisiejszość tymczasem lubi właśnie nieobowiązujące, nie nakładające odpowiedzialności słówka, zachwyty, entuzyazmy. Entuzyazmem, sławą krzyczącą obwijano i Witkiewicza ongi; dziś się go troskliwie obwija w zapomnienie. I l e g i o n jemu bratni nie wnet się chyba jeszcze uformuje.

Są dziś bardzo piękne o miłości społecznej — — deklamacye. A powiedziano jest: »Synaczkowie moi, nie miłujmy słowem, ani językiem, ale uczynkiem i prawdą«.

Nie chcę tutaj kontynuować dzieła Witkiewicza, nie chcę nauczać, bo brak mi do tego — choć-

by godności. Wielkie to jest prawo i obowiązujące: »nie każdemu wolno o Polsce stanowić« (Wyspiański). Ale to trzeba głośno powiedzieć, że j e s t w dzisiejszej Polsce człowiek, który ciężkim mozołem wypracował w sobie godność apostołowania odwiecznej »n o w i n y«!

Nie wiem, jaki jest stosunek Witkiewicza do »Kościoła urzędowego«, czy przypomina może stosunek Mickiewicza, Słowackiego, czy jest może zbudowany na synowskiem poczuciu żalu do m a t k i, że ta nie zawsze dochodzi tej miary doskonałości, o jakiej się mu marzy — to jedno wiem, że tak żarliwego, nieobłudnego, niefaryzeuszowskiego chrystyanizmu, jakiego nurt bije z duszy jego w artykule »Chrześcijaństwo i katechizm« (Reforma szkolna. Kwartalnik. Kraków, 1904, 1913. Zeszyt I—II), trudnoby i długo nawet dziś szukać.

* * *

Taka to jest »wiedza człowiecza« Witkiewicza, taki ten jego »światły anarchizm«[1]). Trud życia jego, ciężka, niewdzięczna, a przecież radosna walka o realizacyę podstawy przyszłego doskonałego życia — zasady bezwzględnej Miłości — sta wiają go w szeregu wielkich naszych »targaczów łańcucha«, w rzędzie wychowawców narodowych.

[1]) J. Jedlicz *Nasz kraj*, tygodn. Lwów, 1908, str. 104.

Życie jego jest również »spełnieniem czynu w zakresie dwu wielkich zagadnień ludzkiego bytu: w sferze sztuki i w sferze społecznego dobra. Jest w nim bezwzględny, wszechludzki pierwiastek życia duszy: — sztuka i bezpośrednie oddanie życia jednostki dla szczęścia własnego społeczeństwa. Więcej od nikogo nie można żądać«.

O zbieżności dróg z Mickiewiczem — wspominałem parokrotnie. Tu jeszcze raz podkreślić trzeba jak najwyraźniej, że Witkiewicz należy do mickiewiczowskiego typu organizacyi psychicznej. Podjął on podstawową zasadę j e g o czynu, zrozumiał groźne słowa wersetu »Ksiąg Pielgrzymstwa«: »A każdy z was ma w duszy ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic« — i na wprowadzenie ich w życie swoje i narodu, na trud polepszania i rozszerzania dusz — rzucił resztę dni swoich. Z pomiędzy wykonawców wskazań Mickiewicza — Witkiewicz jest jednym z największych, najczcigodniejszych. Przypomina w tem jednego chyba tylko człowieka wielkiego umysłu i bohaterskiej duszy, jedną z najjaśniejszych postaci XIX w., Stanisława Szczepanowskiego.

Dziś, kiedy słowo drukowane zatraca wszelką wartość, kiedy tak zastraszająca liczba piszących pisze po to jedynie, żeby było czem papier zadrukować, a tak mało tych, którzy przez s ł o w o chcą c z y n i ć, kiedy i omawiane tu książki i idee właśnie może przez to niebywałe lekceważenie słowa

pominięte, zapoznane zostały, dziś warto i trzeba przypomnieć i wrzeźbić to w jak najszerszą świadomość na zawsze, że Witkiewicz to jeden z nielicznych w Polsce, którzy piszą nie dla literatury, którzy piszą krwią żywą, sercem. Takie słowa muszą też przejść nie przez intelekt, nie przez rozestetyzowaną ciekawość, — jako pług przeorać muszą duszę polską, wejść w krew narodu, muszą wydać owoc, zrealizowane być muszą przedewszystkiem. Bo i to trzeba sobie w całej pełni uświadomić, że jedynie przez te szczeble, na które za wielkimi apostołami ludzkości Witkiewicz wzywa, idzie się w dobrą przyszłość.

(»Sfinks«, Warszawa 1911, zeszyt z lipca).

NAUCZANIE HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ W WYCHOWANIU NARODOWEM.

I.

W przeciągu ostatnich paru lat pojawiły się kilkakrotnie z ust powołanych opinie, ujmujące syntetycznie naczelną dążność, rzecby można: d u s z ę piśmiennictwa polskiego, uważanego w całości dziejów. Przyczem — rzecz dziwna — aczkolwiek od niespodzianie różnych i sobie wzajemnie odległych autorów wychodziły owe wywody, czy to je przynosił uczony, czy publicysta, czy pisarz-arcytwórca, — ich sens i teza naczelna, ostateczne ich konkluzye okazały się zdumiewająco zgodne.

Poszukując mianowicie pierwszych źródeł polskiej twórczości literackiej w przeciągu lat, dochodząc, jaka była przyczyna sprawcza i jaki uczuciowy wykładnik działalności pisarskiej autorów naszych od XVI do XX stulecia, — przypomniano

stare orzeczenie najwyższego syntetyka, A. Mickiewicza, który w trakcie wykładów paryskich stwierdził, że cała literatura polska wyrosła z tego jednego słowa: — ojczyzna.

Dziś znowu za nawrotem wykazano dowodnie, ze ścisłością nowoczesnych metod badania, że naczelną, istotną cechą piśmiennictwa polskiego jest faktycznie tendencya patryotyczna, miłosne zespolenie się ze sprawą Rzptej, chętliwość, prawie mus instynktowy, mus służby narodowej. Tem też jest ono »między narodami słynne« i tem też niesłynne. Zgodność takich niezawisłych względem siebie stwierdzeń w tej samej sprawie staje się sama poręczeniem trafności sądu.

Spodziewać się też wolno, że sąd ten, posiadający dziś jeszcze cały urok i prawie zapach nowości, przyjmie się i ugruntuje głęboko w społeczeństwie; przepyszne, gorącem serca natchnięte słowa Żeromskiego walnie się do tego niechybnie przyczynią. Być może, że nawet kiedyś stanie się utartym, bezopornie przyjmowanym komunałem. Dzisiaj — powtórzyć tu można raz jeszcze — ma on w sobie cały urok i urodzajność, działać może jak żywa, twórcza podnieta, stać się zarodzią dla nowych oświetleń przeszłości i nowych ukształceń jutra piśmiennictwa polskiego.

To nowe pojęcie wytycznej przeszłości piśmiennictwa mieć może ogromną doniosłość w przyszłej polskiej szkole, i to zarówno w dydaktyce przedmiotu, jak i w całokształcie wychowania narodowego.

Jeżeli bowiem przyjmiemy, że taka a nie inna jest wytyczna literatury naszej, że jej najwewnętrzniejszym rdzeniem i najcudniejszym kwiatem był rzeczywiście przez ciąg zbiegłych dziejów — patryotyzm, zaprzysiężona wierność służbie narodowej, jeżeli to przyjmiemy bez łamania rąk, czy nastrajania się do dytyrambu, — ale poprostu jako fakt historyczny, jako coś, co było przez parę stuleci i co, jako przejaw struktury psychiki zbiorowej narodu, zmienić nie łatwo się da i nie na poczekaniu, — i jeżeli z tego założenia węgielnego wywieść zechcemy pomysł metodyki nauczania, tedy rychło i bez zawiłych dociekań znajdziemy zasadniczy, naczelny postulat dydaktyki historyi literatury. Postulat w oczywistości swej równie — powiedziałbym — banalny, jak... niestosowany.

Jeżeli bowiem istotnie c a ł a literatura polska, we wszystkich słojach rozrostu historycznego i we wszystkich rozgałęzieniach różnorodności gatunkowej, posiada wspólny wykładnik, wpośród bogactwa tonów wykazuje najwyższą wspólną dominantę, jeżeli ma faktycznie wspólny, wieczyście żywy, jeden rdzeń rozrostu: troskę patryotyczną, tedy cały ten twór ducha narodowego jest żywą, mocno w sobie zwartą, na swoistych prawach rozwoju wzrosłą c a ł o ś c i ą i w nowoczesnem nau-

czaniu podawany być musi właśnie jako organiczna, konsekwencyą życia wszelkiego konsekwentna całość, a nie jako przypadkowa zszywanka chronologiczna autorów i książek. Organiczne pojmowanie dziejów literatury — oto naczelny postulat jej dydaktyki.

A teraz dalej. Wyrosła literatura polska z żyzności tego słowa: ojczyzna, jego żarem sycona — wykwitła na podziwy. To znaczy naodwrót: — w treść swą, w swą istność przejęła i przechowała dla przyszłości wszelką tęsknotę patryotyczną, wszelki poryw zaprzysiężonej na służbę woli, całą radość, podziw i dumę plemienną zeszłych pokoleń, jak żal, gorycz, skargę, gniew i grozę prorocką, była głosem sumienia narodowego w wyniesieniach i upadkach, solą ziemi polskiej, — a dziś jest skrystalizowanym masywem uczuć i ustanowień zbiorowości narodu, jak się układały w przebiegu pokoleń warstwa na warstwie — literackim testamentem ich służby. Z uwarstwowień tych, jak geolog z pokładów ziemi, odczytasz ubiegłe dzieje pospólnej duszy polskiej, jej »myśli przędzę i uczuć kwiaty«. Historya literatury polskiej stać się może w ten sposób historyą polskiego patryotyzmu.

Myśli i uczuć — powiedzmy nawiasem — a nie czynów, bo te zapisała historya polityczna i społeczna. Jeżeli więc nawet przyjmiemy w nauczaniu to nowe pojęcie historyi literatury, to nie-

odzowne przytem będzie zastrzeżenie, że podaje ona przegląd niezrealizowanych postępków — przejawów czynnej miłości ojczyzny, ale odsłania rozwój patryotycznej myśli i uczuciowości polskiej. To też gdy dziecko polskie będzie miało i będzie mogło przejąć w pierś swą całą wiedzę o narodzie, o jego wzlotach napowietrznych i mozolnych pochodach po wybojach ziemi, — to korrelatyw historyi literatury: historya polityczna (owa Marta biblijna) podana mu być musi na miejscu naczelnem, a nie jak do niedawna w naszych szkołach galicyjskich, gdzie i w faktycznym stanie nauczania i nawet na formularzu szkolnego świadectwa zepchnięta była »do suteren«, między przedmioty nadobowiązkowe.

Ale nawróćmy do przerwanego ciągu wywodu. Takie nowe pojęcie historyi literatury jako nauki o dziejowem formowaniu się patryotyzmu polskiego stawia ją na poczesnem miejscu w przyszłem wychowaniu narodowem. W ten sposób stanie się ona prawie naczelnym organem świadomości budzenia samowiedzy narodowej. Przywoła i postawi przed oczy młodzieży życie duchowe przodków, życie dojrzałe w najgłębszej swej istocie — pod kątem stosunku do zbiorowego obowiązku: ojczyzny. Człowiekowi dzisiejszemu pozwoli ogarnąć we wstecznem spojrzeniu całą duszę historyczną narodu, przeżyć osobiście wszystkie jego zbiorowe radości i bóle, upadki i nadzieje, jego tęsknoty naj-

wyższe, potrafi sprawić, że odtąd na podstawie ciągłej, idealnej, uczuciowej współobecności we własnej duszy wszystkiego, co w dziejach narodu było wartościowe, oprzeć może przyszły obywatel polski swoją pracę pod znakiem przydatności narodowej. Jak zarodek ludzki, zanim się ukształtuje w człowieka, przechodzi podobno kolejno przez wszystkie niższe formy bytu, tak dusza ludzka na mocy tego samego prawa biogenetycznego przejść musi i przeżyć przeszłe formy stosunku do zadań naczelnych, zanim wreszcie, wyrósłszy ponad nie, osadzi i umocni się we własnej formie pracy. W odniesieniu zaś do zadań narodowych uczynić to może chyba jedynie za przewodem historyi patryotyzmu, jak się był przejawił czynie i w spisanej tęsknocie narodu.

Nie ujmując celom i zadaniom innym, jakie dotąd miało i zawsze mieć będzie nauczanie historyi literatury, twierdzić się poważam, że owo wyżej wykazane tu zadanie jest najistotniejsze, bo nie do zastąpienia. To znaczy: nie można mu, podczas kiedy można wszystkim innym, zadość uczynić na podstawie innego materyału, przy innej sposobności. Kulturę estetyczną rozwinąć, ewolucyę artyzmu mowy i kierunków literackich ukazać można od biedy i na dziełach poezyi obcej (zresztą ukazywać się ją zawsze będzie na polskiej — równolegle), ale tego, jak powiązane były dusze wybitniejszych w narodzie z ideałem ojczyzny, tego nie od-

słoni nam nikt poza ich własnym, w dziełach literackich przekazanym testamentem, poza nauką o całokształcie twórczości literackiej narodu [1]).

Że takie pojęcie historyi literatury, jako przedmiotu nauczania, niezbyt jest rozpowszechnione, to nie tajemnica. Dowodem być tu może ten choćby fakt, że właściwie istnieje jeden tylko podręcznik, pisany ze świadomością tego zadania: Ignacego Chrzanowskiego »Historya literatury niepodległej Polski«. Książka to istotnie dotąd niezrównana.

II.

Aliści podręcznik Chrzanowskiego sięga tylko po wiek XVIII włącznie; tom dalszy się nie pojawia, a podręcznikom innym daleko do kontynuowania jego roli i wartości. Metodyka nauczania literatury XIX w. leży wielkim odłogiem. Jest to tem dotkliwsze, że określona powyżej sprawa o istocie literatury naszej tutaj się komplikuje.

---

[1]) Z radości widzę, że, pisząc to, wyrażałem myśli, uświadomione ogółowi nauczycielstwa polskiego w Królestwie. Świadczy o tem tekst wniosku profesora Chlebowskiego, przyjęty w sekcyi językowo-literackiej zjazdu oświatowo-nauczycielskiego 3 stycznia 1917, — w dużej mierze równoległy treściowo z wytyczną powyższego artykułu.

O ile w w. XVI czy XVIII patryotyzm literatury, jak chyba wszystkie przejawy życia społecznego, był genetycznie związany z państwowością, faktowi istnienia państwa upodrzędniony — znać musiał pewien rygor i umiar, t. zn. jeżeli się domagał reform, to tylko reformy ustroju społecznego, czy władzy wykonawczej i t. p. — i wyjątkowo, właściwie jeden jedyny chyba tylko raz sięgnął do wnętrza duszy jednostkowej i domagał się przemiany, przetworzenia człowieka wewnętrznego, — o tyle literatura w XIX w., wzrosła po upadku państwa, ściśle biorąc po upadku resztek państwowości własnej w r. 1831, przedstawia typ zasadniczo wobec tamtej odmienny.

Obcując z pisarzami niepodległej Polski o najwyższej nawet żarliwości patryotycznej, nie zapominamy ani na chwilę, że ich sprawa już przeszła, a ich osobistości, nie wdzierając się we wnętrza naszych dusz, działają objektywnemi wartościami charakteru czy umysłowości — jako przykłady historyczne, materyał dla polskiego Plutarcha.

Zgoła inaczej stajemy wobec wielkiej twórczości z pierwszej połowy XIX w. Ta właśnie uderza i zagarnąć nas pragnie b e z p o ś r e d n i e m i wartościami i konstrukcyami wychowawczemi. Nowsza literatura patryotyczna polska wykazuje jakąś dziwną zachłanność nauczycielską; uderza na człowieka z góry i porwać go usiłuje na orlich

skrzydłach rozbudzonego zapału w ponadszczytne wyżyny nowego życia. Nie tylko pokazuje, jak owi ludzie, jej twórcy, poczynali sobie z ojczyzną, ale stara się narzucić, jak i my sobie z nią poczynać winniśmy. Uczyć chce nie przez historyczny z siebie przykład, ale bezpośrednio z żywej duszy w duszę.

Przyczyn tego zmienionego charakteru literatury szukaćby najpierw w romantycznych poglądach na istotę i rolę poezyi. Filozofia romantyczna, uznając jaźń ludzką za wartość absolutną, za twórczynię bytu — rzeczywistości, uważała poezyę, wyraz najwyższych tęsknot, przejaw samej istoty czystej jaźni, — za antycypacyę przyszłych form istnienia, za wizyjną, proroczą zapowiedź tej rzeczywistości, która będzie, rzeczywistości ostatecznej, doskonałej, nie zniekształconej kompromisami z materyą — niebytem. Poecie więc warowała w konsekwencyi miejsce wybrane, w społeczeństwie przodownicze.

Powtóre na taki zmieniony stan rzeczy złożyły się wypadki polityczne. Kiedy realną więźbę narodu: państwo, zburzył wróg, trzeba było co rychlej budować więźbę duchową, państwo serdeczne, zakon narodowości. W tem budowaniu ujęli ster najwyżsi z czujących — twórcy literaccy. Następuje ta dziwna, prawie jedyna w swym rodzaju przemiana poetów na wieszczów, niekoronowanych królów i hetmanów narodu. Ci sięgają po rząd

dusz, usiłują ująć zbiorową psychikę narodu w najgłębszych pokładach i zatargać, przetworzyć ją na nową, niesłychaną miarę. Stąd owa ich zapalczywość, nieomal łapczywa napastliwość wychowawcza, stąd rozpęd ich mowy, dodzierającej się wprost do duszy współczesnych i potomnych. Poeta chce więc »własne ognie przelać w piersi słuchaczów« i porwać ich na wielkie życie. Porywa się z dusz tych »większe, niż Ty, zrobić dziwo«. Przez tę zdobywczą żądzę przetwarzania samej istoty człowieczej dochodzi poezya do prawa i dostojeństwa nauczycielstwa patryotycznego.

Stąd też inny, bardziej skomplikowany być musi do niej stosunek nauczyciela-wychowawcy. Już nie wystarczy więcej dawna metoda objektywnego poznania historycznego, nie wystarczy wskazanie: — patrzcie, takie były, tak się paliły w sobie dusze ludzi w narodzie naczelnych, którzy atoli przeszli, których serdeczny trud życia także się skończył, zasunął w przeszłość i nas dotyczy już tylko pośrednio. To chłodne stanowisko poznawcze jest tutaj w zasadzie nie do utrzymania, a w wychowaniu nie do przeprowadzenia.

Poprzez półwiekową odległość, przez najboleśniejsze zawody i rozczarowania przerasta ku nam wielka poezya patryotyczna żywa i żywotna. Pokolenie za pokoleniem w grób się kładzie, a ona władczo ciągle nas jarzmi, porywa, uskrzydla i dźwiga dusze na własne szlaki lotów; dziś równie

nieodparcie, jak jarzmiła sobie współczesnych. A jest w niej tyle niespożycie, wieczyście twórczych, nie podlegających zastrzeżeniom wartościowych pierwiastków, jest w niej taka żywa, błogosławiona siła wychowawcza, że stosowanie wobec niej li tylko chłodnego postulatu p o z n a n i a historycznego, byłoby okaleczaniem duszy narodowej, zubożaniem jej o nieprzeszacowane wartości.

Trzeba w ten niebosiężny kościół poezyi polskiej XIX w. wwieść dusze młode i poddać urokowi, niech działa. Otworzyć uszy na owo wołanie wielkie i wolę skierować ku pełnieniu. Dopiero kiedy przepracuje, przetrawi w sobie dusza i c h wielką boleść, miłowaniem obejmie przepaść i c h ofiar wewnętrznych i ogromy wiar, wyjdzie ze świątyni na słońce, na bolesne ugory dzisiejszych dni. Wtedy czas wskazać nowe, owym ludziom jeszcze niewidoczne, horyzonty, nowe zadania i prace nowe.

Dla nauczyciela to jedno z najtrudniejszych zadań. Wielkiej potrzeba prawości wewnętrznej i daru jasnego wejrzenia w ustawiczny cud tworzenia się istności narodowej, by rozeznać, pokąd poddać młode dusze rozpędowi tamtych skrzydeł, a kiedy mimo wszystko zachować dystans historyczny i uczciwie podnieść p r a w o s ą d z e n i a.

III.

Jak dotąd, to i z tego prawa uczciwego osądu niezbyt wydatnie korzystano. Jeżeli chodzi o krytykę, to raczej zadowalano się potępieniem w czambuł lub pospolitą rubaszną drwiną, czy też zgoła machnięciem ręki. Niech więc na zakończenie tych wywodów, raczej teoretycznych, będzie wolno podnieść i w tej dziedzinie szczegół więcej uchwytny, oświetlić konkretny wypadek. Poruszyć przyjdzie z zakresu wychowawczej kompetencyi literatury porozbiorowej sprawę istotnie doniosłą i bolesną.

Popowstaniową wielką poezyę patryotyczną wyrwało z piersi pokolenia — cierpienie narodu.

> Duszą... w moją ojczyznę wcielony...
> Patrzę na ojczyznę biedną,
> Jak syn na ojca wplecionego w koło.
> Czuję całego cierpienia narodu...
> Cierpię, szaleję!...

powiedzieć mógł słusznie za Konradem każdy chyba owoczesny poeta. Jakoteż stała się poezya jękiem narodu mordowanego, krzykiem boleści i... n i e n a w i ś c i do katów. Nuta narodowej nienawiści — och, jakże usprawiedliwionej i niemożliwej do przemilczenia! — odzywa się istotnie bardzo często.

Już w »Grażynie« przełamuje chłody formy

klasycznej i lawą palącą wybucha z piersi starego sługi, w »Wallenrodzie« drga schowana niezbyt zresztą głęboko pod pokładami zmyślenia poetyckiego, piorunem druzgocącym wybucha w »Dziadach« i »Księgach«, jest jeszcze w publicystycznej działalności paryskiej Mickiewicza, a dopiero w »Panu Tadeuszu« zatraca się, rozwiera jakby w zapachu świętości, który bije z całego poematu. Krasińskiego nierzadkie stronnice aż dygocą nienawiścią ku Rosyi, pełen jej »Kordyan«, nawet »Anhelli« — żeby już pozostać na szczytach. Nie milknie ta struna przez cały wiek XIX.

Nie chodzi tu o jej ocenę moralną, ani uzasadnienie historyczne. Na uwadze ciągle mamy tylko wychowanie.

Otóż zaprzeczyć się nie da, że w wychowaniu patryotycznem polskiem tej nienawiści jest — z a d u ż o. Nie wiem, czy zadużo samo w sobie, ale zadużo s t o s u n k o w o.

Z tych, co znają młodzież szkolną galicyjską, któż zaprzeczy, że ona daleko lepiej zna krzywdy i niszczycielskie ciosy, zadane narodowi w przeciągu półtorawiecznej niewoli, aniżeli tego narodu ostoję ziemską, kraj ojczysty, jego »ziemie, wody«, stosunki etnograficzne, społeczne, lub — co ważniejsza — radosną, niczem niezwyciężoną siłę żywiołowego wzrostu narodu, obszar i warunki: — te setki warsztatów polskiej pracy fizycznej i duchowej, gdzie się tworzy wbrew i na urągowisko

wszelkiej przemocy — niezniszczalna kultura polska.

Przyczem ta obojętność wobec siły wzrostu narodowego tyczy równo przeszłości, jak i teraźniejszości. Jakże znikomej garstce wiadoma jest gigantyczna praca Lubeckiego nad gospodarczem odrodzeniem Królestwa Polskiego przed powstaniem listopadowem, takaż sama Andrzeja Zamoyskiego przed styczniowem! Iluż zna dzisiejszą twierdzę kresową na zachodzie — gospodarstwo chłopa poznańskiego, stan, polskość na Kaszubach, na Orawie, już zamilczając o Litwie? Iluż stać na pełną znajomość bohaterskich wysileń narodu nad stworzeniem narodowego szkolnictwa? Zato pamięć krzywd, klęsk, prześladowań przekazujemy z pokolenia na pokolenie w mistycznem jakiemś, nabożnem przejęciu!

Jest to niewątpliwie cecha patryotyzmu n i e w o l n e g o. Wytrawić się ją musi z psychiki polskiej, bo jest, jako metoda t y l k o o d p o r u, wytworem, złem przekleństwem niewoli. Patryotyzm polski z więzienia i podziemi wywieść na słońce! Że mamy porachunki z tym i owym wrogiem — nie zapominać, ale przecież się tą świadomością nie gnębić, nie zatruwać; przyjdzie i na nie czas. Na biegunach mściwości nie może się przecież toczyć zdrowe, jędrne życie narodu.

A właśnie źle podana historya literatury, w której uczucia nie mogły być tamowane, jak u szeregowców społecznej pracy, umiejących się »pod ziemię kryć z gniewem i być jak otchłań w myśli niedościgły« — właśnie ona utrwalać może w duszach ową mściwą nienawiść, przewlekać ją, nawet ubierać w blaski aureoli.

A przecież poza tym, w którym myśmy wzrośli, porozbiorowym patryotyzmem, mającym zawsze coś z posmaku tułactwa, czy podziemi, — jest inny, radosny patryotyzm swobody, którego cechą — rzekłbyś — beztroskliwa wiara w żywotność i wartość narodu, jakiś niewystygający entuzyazm oddania się bez zastrzeżeń na przymnażanie dobra narodowego. Wiara — »niezamącona błędów przypomnieniem, niepodkopana nadziei złudzeniem, ani zmieniona wypadków strumieniem«.

Taki patryotyzm hodować w sobie musieli Kochanowski i Górnicki, Modrzewski, Jan Tarnowski i Jan Zamoyski. Pokolenia wieku XIX o nim zapomniały, nam dziś trudno już nawet zmusić swą psychikę, by spełna pojęła samą jego istotę, ponoś może zapomnienie to dokonało się przecie dopiero w ciągu ostatniego stulecia. Jeszcze Mickiewicz świadczy, że w krystalicznej atmosferze takiego patryotyzmu wzrosła młodość jego — przeczysta »jak pierwsze kochanie«.

A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,
Że był w błyszczącym i pięknym mundurze;
Bo węża tylko znaliśmy po skórze —

westchnie potem na bruku paryskim z głębi tylekroć już, boleśnie doświadczonej duszy.

Taką młodość mieć chyba musieli wszyscy z pierwszego pokolenia porozbiorowego, zwłaszcza urodzeni zdala od widowni tragedyi rozbiorowej, po dworkach, gdzie groza wypadków jeszcze się nie uświadomiła, gdzie — rzekłbyś — w ścianach samych, w całym trybie życia i myślenia ojcowskiego przechowała się jeszcze była żywa tradycya własnej państwowości.

Słoneczny ten — nazwaćby się go chciało: »czarnoleski« — patryotyzm, przerodził się pod ciosami klęsk na tak dobrze nam znany — spiskowy, więzienny. Jeden to z najboleśniejszych procesów, jaki się dokonał w porozbiorowej duszy narodu. My dziś wejrzeć możemy w to męczeństwo tamtych ludzi, zrodzonych na pograniczu czasów, dusz, pamiętających jeszcze polskie wolne powietrze, a przyginanych potem przez okrutną rzeczywistość do nowych warunków pracy, nowych broni. Mękę tę przekazało owo pokolenie w jednym tylko wyrazie, ale starczącym za wiele.

Jest to Mickiewicza wiersz »Do matki Polki« o losach polskiego dziecka, »któremu patrzy z czoła dziecinnego d a w n y c h P o l a k ó w duma i szlachetność«. Wiersz najtragiczniejszy pośród całej liryki polskiej. Tak np. mało go kto pod tym szyldem rozważa! A jest to przecie z samego dna istności narodu wyrwany, najwyższy na cały wiek, jęk

bólu i skargi na piekielny polski los, że najcenniejsze wartości duchowej swobody ścigane są jak najohydniejsze zbrodnie, że co na świecie jest cnotą godną posągów, to u nas występkiem prowadzącym niezawodnie do taczek i łańcucha.

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania,
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do zwycięstwa bez zmartwychpowstania.

A wreszcie to najstraszniejsze, — że wciśnięci w piekło cynicznie przemożnego ucisku, sami musimy wyradzać i potworzyć ów najcudniejszy skarb narodu: młode polskie dusze; ich entuzyazm miłosnego oddania się ojczyźnie oblekać w kajdaniarskie szaty patryotyzmu spiskowego, w którym się nauczą

Mową truć zcicha jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły.

Głuchy nie dosłyszy tylko w tem i osobistego jęku poety, który niedawno przedtem wbrew swej wewnętrznej prawości musiał także »milczkiem, jak wąż, ludzić despotę«. A taki sam, bezprzykładny w świecie jęk boleści wyrywać się musiał z tych samych źródeł z piersi całych zniekształcanych duchowo pokoleń polskich. Wiele z tego jęku wzięła w siebie i przechowała wielka poezya przeszłego stulecia.

A jednak, — chociaż jest nam najdroższym klejnotem w skarbcu narodowych doznań z przeszłości ów patryotyzm stygmatyczny, to przecie wyjść poza niego musimy. Musimy odzyskać dla nadchodzącego pokolenia ów słoneczny, państwotwórczy patryotyzm »dawnych Polaków«, — wzbogacony niejednym rzetelnym plonem pracy ducha narodowego w XIX w. Ale wolny od dręczycielskich rozkrwawiań się, od biczownictwa narodowego i zapiekłej mściwości wobec postronnych nieprzyjaciół.

Potrzeba to, niż kiedykolwiek, gwałtowniejsza dziś, kiedy jaśniej, niż ojcom i dziadom nam zym, rozpalać się nam zaczyna jutrzenka swobody, kiedy piersiom polskim otwiera się nareszcie wiosenne, rzeźkie, krystaliczne powietrze do oddechu, wolna, szeroka przestrzeń — ramionom do pracy, duszom do radosnego wzrostu w niebo.

O tem nauczyciel historyi i literatury polskiej w wolnej szkole narodowej pamiętać musi ustawicznie.

(»Szkoła Polska«, Lublin, 1916, zesz. 5).

JESZCZE O NAUCZANIU HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ XIX W.

Do uwag, poczynionych w drugiej części poprzedniego artykułu — sądzę, że trzeba jeszcze wrócić, bo rzucone były zbyt mimochodem i do zwartej konkluzyi nie zostały rozwinięte. A że wrócić warto, łatwo przyznamy, zważywszy, jak dużą rolę, niewątpliwie jedną z zasadniczych, mieć będzie nauczanie historyi literatury polskiej w przyszłem, wolnem szkolnictwie. Chciałem więc obecnie nawiązać myśl do owego ustępu, częściowo go rozwinąć, częściowo zaś poruszyć nowe strony zagadnienia. Idzie zaś mianowicie ciągle o narodową dydaktykę historyi literatury polskiej XIX w.

Jeżeli już poprzednio zwróciłem uwagę na wybitnie, niemal jaskrawo wyłączny, jednolity charakter patryotyczny tej literatury, to podkreślić można teraz dalej, że i w tym chronologicznie węż-

szym okresie, na przestrzeni jednego stulecia, literatura polska, uważana pod względem owej naczelnej cechy macierzystej, ukaże się jako organicznie zwarta, w przejrzystą wewnętrzną konstrukcyę zbudowana całość. Wykazuje mianowicie: linię konsekwentnego wzrostu, własne wiązanie szczytowe i opadające zwolna zbocze powrotnego uspokojenia i wyczerpania.

Trudno się tutaj kusić o uplastycznienie tego obrazu szczegółowem wniknięciem w charakterystykę literackiej epoki. Ważny jest dla nas na razie tylko ów szczyt. Na imię mu Mickiewicz.

Tyleśmy się już osłuchali i obyli z takiem bezsprzecznem przyznaniem Mickiewiczowi roli centralnej w naszem piśmiennictwie, z tem, że i w życiu duchowo-patryotycznem »my wszyscy z niego«, a przecież jakoś nie sporo do wyciągania stąd dalszych wniosków.

Człowiek to w narodzie polskim istotnie centralny. Przedewszystkiem skończenie całkowity w swej istocie człowieczej — wyrosły z ziemi i nierozdzielnie z nią spojony, a wrastający w niebo, szary robotnik wśród powszedniego ludzi zgiełku, a przecie pielgrzymujący bezustannie w głodzie świętości, inicyator polskiego zakonu i zarazem żołnierz. W tym względzie on chyba jedyny w Polsce. Ustrojem psychicznym z daleka pokrewny mu był ze współczesnych zapewne jeden tylko Goszczyński, choć o wiele nie dochodził go geniuszem.

Ta sama centralność przypadła mu w życiu polskiego patryotyzmu. Rozrzucone wśród wieków i ludzi, rozbieżne jego promienie on zgarnął w siebie jak w ognisko soczewki, rozżarzył do najwyższej na całe pokolenie potęgi, dał mu niedościgle doskonały wyraz artystyczny i rzucił w przyszłość. Człowiek, który stanął między dwoma epokami życia polskiego, jak szczyt nie do ominięcia.

Otóż z tego to właśnie faktu godziłoby się nareszcie wyciągnąć bez kompromisów wniosek także i w dziedzinie wychowania, dydaktyki literatury polskiej.

W takiem zaś jej nauczaniu, jak je tu naszkicowano poprzednio, t. zn. pojąwszy je jako sposób zorganizowanego budzenia świadomości obywatelskiej, jako rozpatrywanie dziejowego wizerunku narodzin, wzrostu i kolejnych natężeń patryotycznej myśli i uczuciowości narodu — będziemy musieli przyjąć za zasadę bezsporną, wymagającą urzeczywistnienia spełna, bez zastrzeżeń, — owo żądanie, by życie i dzieła Mickiewicza uczynić szczytem i ośrodkiem narodowego wychowania przez literaturę. I to żądanie teoretycznie nie jest nowe, choć w praktyce nauczania jeszcze nienaruszone.

Cóż tedy, ściśle biorąc, oznacza takie żądanie? Przecież nie to jedynie, żeby w trakcie nauczania

literatury Mickiewiczowi poświęcić najwięcej czasu i staranności, choć to przyjść musi także samo przez się, kiedy zadość uczynimy istocie postulatu. A istota jest w tem, żeby Mickiewicza uczynić ośrodkiem wychowania narodu, i to w całej pełni znaczenia tego wyrazu, przyznać mu bez zastrzeżeń rolę taką, jaką miał Homer w wychowaniu starej, a jaką dziś podobno za nawrotem nadać mu się usiłuje i w nowożytnej Grecyi.

Uczyło się mianowicie dziecko greckie z Homera: 1) przeszłości narodowej, 2) języka, 3) religii. W punktach tych zmieści się i dzisiejsza potrzeba.

I z Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza* przyjść powinno dla dziecka polskiego pierwsze rozpoznanie dawnego kształtu ojczyzny, odmalowanego wpośród ostatnich pokoleń jej państwowości. Poznanie atmosfery, stosunków życiowych, kłopotów, małych radości i wielkich tęsknot owych ludzi, wyprowadzonych tam — prawda — z przywarami, wadami, nawet śmiesznostkami, a przecie z szczerozłotą ponad wszystko, chwytającą za serce polską iścizną duchową.

A wtedy, niewątpliwie, po wniknięciu w ten klęskami i »nadzieją brzemienny« okres narodowego życia od »prawa 3-go maja« do »polskiej wojny« Napoleona, po takiem poznaniu, »co kochać przymusza«, pójdzie »i serce, a za sercem dusza«, przyjdzie umiłowanie, przylgnięcie młodej

duchowej latorośli w spazmie pocałunku do najdroższej, poprzez słońce widzianej, — »dawnej ojczyzny«.

Otóż tak będzie, tak stać się powinno w Polsce, że na czele, u samej podstawy narodowego uświadomienia dziecka stać będzie *Pan Tadeusz;* z nim splatać się będą genetycznie: niezapomniane dla każdego chwile pierwszego obudzenia się wewnętrznego człowieka, rozbłysk nagłego uczucia się jednym z nich, obywatelem wieczystej Polski, pierwszy moment świadomego wkluczenia się w łańcuch pracujących narodowo pokoleń. Przy tem arcydziele poezyi i uczucia polskiego stawać się będzie i przez nie: — takie wieczyste odradzanie się ojczyzny serdecznej w nadchodzących generacyach.

Sprawa druga, o j ę z y k, zbyt ściśle się wiąże z dotychczasowym stanem nauczania tego przedmiotu w szkole, więc dojść do niej można większem nieco dopiero na ten temat koliskiem.

W inwentarzu braków i uchybień dzisiejszej dydaktyki szkolnej jedną z najprzykrzejszych chyba pozycyi stanowi właśnie, niestety, nauczanie języka polskiego, jego t. zw. gramatyki. Napewno nie będzie przesadą stwierdzenie, że z pośród absolwentów polskiej szkoły średniej zaledwie może 1% ma o ustroju języka polskiego jakie takie pojęcie. Bo też gramatyka tego języka należy, jako przedmiot nauczania, stanowczo do najbar-

dziej przykrych, powiedzmy poprostu obmierzłych, oczywiście nie z winy przedmiotu. Odrabiało się ją, jak pańszczyznę, i jak o niemiłym epizodzie — chce się o niej jak najrychlej zapomnieć.

Fakt to, niestety, chyba powszechny. Chcąc wskazać jego przyczyny, mówićby trzeba niewątpliwie wiele o nieporadności dydaktycznej nauczyciela, którego nikt nie nauczył uczyć dobrze gramatyki w szkole; pomińmy jednak wzgląd ten, tutaj niewczesny. Ważniejszy jest na razie wzgląd drugi, leżący głębiej: w istocie dzisiejszego ustroju tej nauki.

Kształt dzisiejszej gramatyki (oczywiście: szkolnej) języka polskiego jest niewolniczem odbiciem konstrukcyi gramatyk języków martwych, »klasycznych«; — stąd też wyrosło to tragiczne nieporozumienie co do metody jej nauczania. Bo przecież jest między nią a tamtemi w najoczywistszej istocie przepaść niezmierzona, są to dwie jakości heterogeniczne, zasadniczo najzupełniej niewspółmierne.

Języki klasyczne, jakoteż żyjące, ale obce, poznaje się przecież od zewnątrz. Zanim się potrafisz rozumieniem wgryźć w blok ich organizmu i opanować je pamięcią, poznać musisz poprzednio, abstrakcyjnie, istotę ich ustroju, całe wewnętrzne rusztowanie praw, formuł, i wyjątków, zanim — co jest zresztą rzadko i trudno osiągalnym celem [1]) — dojdziesz do jądra organizmu, posiądziesz go twórczo, jakby rodowity tuziemiec. Jestto — jak widać — proces dedukcyjny, od rusztowania do miąższu, od normy i praw do każdego poszczególnego zjawiska językowego.

A z językiem rodzimym jest przecież wręcz odwrotnie; tu każda jednostka siłą faktu znajduje się wewnątrz organizmu języka, posiada go właśnie twórczo, nie zdając sobie nawet sprawy z praw i prawidłowości w nim panujących. Więc w nauczaniu punkt wyjścia będzie biegunowo tamtemu przeciwny: co tam było celem dążenia, tu jest faktem.

Rzecz też chyba oczywista, że w tak różnych wypadkach nie można stosować tej samej metody; o tem właśnie zdają się zapominać podręczniki i nauczyciele gramatyki języka polskiego. Jak tam, — i tu stosują metodę dedukcyjną, gdzie jedynie dla indukcyi miejsce; wychodzą od norm, uczą wzorów, szeregów klasyfikacyjnych i t. p.

W gramatykach szkolnych języka polskiego pobudowano najkunsztowniejsze rusztowania, pełne różnorodnych działów, poddziałków i tym podobnych scholastycznych subtylizacyi, co w uczniu, zdanym w tym gąszczu prawideł na swą wyłącznie

---

[1]) Ob. naprzykład wyznanie Al. Brücknera: »O język obcy«, dod. do 630 nru »Nowej Reformy« z d. 16. grudnia 1916.

pamięć — wywołuje odrazę i odruchowy upór. Wobec zaś takich podręczników niewykształcony dydaktycznie nauczyciel za zadanie swoje uważa wbicie w umysły uczniowskie jedynie wszystkich tych misterności »po zucheleczku«, »stąd—dotąd«. Rezultat wiadomy.

Taki stan rzeczy wiecznie trwać nie może, przyjść kiedyś przecie musi i na tem polu do zmiany, może wprost do rewolucyi. Zjawi się przecie nareszcie kiedyś reformator, co wymiecie tolerowane przez inercyę śmiecie i budowę stawiać zacznie na nowo. Normą mu właśnie będzie indukcya, wyjść będzie musiał od żywego języka, którym każde dziecko włada bez gramatyki, i stąd, od wnętrza, prowadzić pocznie do poznania ustroju mowy rodzinnej. Punktem wyjścia stanie się żywa mowa, oraz pomniki literackie najszczerszej, najczystszej polszczyny nowożytnej.

Otóż wtenczas to, w tem przyszłem nauczaniu języka polskiego, przyjdzie potrzeba, że nauczyciel, oglądając się za materyałem, za najdoskonalszymi wzorami polszczyzny, sięgnąć będzie musiał po Mickiewicza. Siłą rzeczy nastręcza mu się znów nadewszystko *Pan Tadeusz*, przez nikogo dotąd nie przewyższona książka polska, ale także i *Wallenrod*, *Dziady*, proza. Nastręczy się nie wyłącznie, — obok wielu innych klejnotów języka, przekazanych przez pisarzy polskich, — ale zawsze w pierwszym i naczelnym rzędzie.

Jak już dzisiaj coraz częściej nauk przyrodniczych, np. botaniki, zaczyna się uczyć od systematyki, ale od... łąki, tak niezadługo nauczyciel języka polskiego wprowadzać będzie uczniów nie w gąszcz rusztowań gramatycznych, ale na obszary wolnej, na drezdeńskich i paryskich brukach wypieszczonej polszczyzny, na zagony wzorowych tekstów, i pokazywać pocznie kolejno, od kwiatu do kwiatu, jej wewnętrzną budowę i rozwój historyczny.

Z takimi tekstami planowo obcując, przyswoi sobie uczeń ich zwroty, określenia, przenośnie, włoży własną swą mowę w szlachetny rytm wzorowego ich okresu. Wtenczas to dopiero ten klejnot najczystszej próby, mowa mickiewiczowska wsiąknie dosłownie i uszlachetni się w pospólny język narodu. Wtenczas też porozumiewać się będziemy między sobą mniej, niż dzisiaj, żargonem dziennikarskim, a więcej — jak ów sienkiewiczowski emigrant staropolskim językiem biblii w przekładzie Wujka — krystalicznym językiem Mickiewicza i wielkich stylistów polskich.

Co zaś do punktu trzeciego, to przez r e l i g i ę rozumieć tu będziemy najwyższy w Polsce kształt natężonego patryotyzmu: mickiewiczowską r e l i g i ę n a r o d o w o ś c i.

Powyżej wspomniano, jaka jest społeczna rola i jakie miejsce Mickiewicza w dziejach rozwoju patryotyzmu polskiego. Jeżeli go zaś chcemy

zważyć w tym względzie samego w sobie, bez zatroskań historycznych, to zaznaczyć musimy najpierw, że była to jednostka jedna z najdoskonalej w Polsce uorganizowanych w typie narodowym, t. zn., że psychika jego cała się skrystalizowała koło osi patryotyzmu, który przeto stanowił najrdzenniejszą iściznę duszy. Gdyby go był Emerson mógł włączyć w swą seryę »Przedstawicieli ludzkości«, zatytułowaćby musiał odnośny rozdział: »Mickiewicz, czyli człowiek-naród«.

Powtóre trzeba zauważyć, że właśnie w tej najwewnętrzniejszej swej istocie, w swym stosunku do służby narodowej, przeszła dusza Mickiewicza przez pewną swoistą ewolucyę, odbyła drogę, która co do natężenia — była jego własną, ale co do kierunku — uznana być może za bezwzględnie cenną, więc prawidłowo obowiązującą, niemal typową dla wszelkiej obywatelskiej organizacyi psychicznej w Polsce.

Jeżeli tedy zważymy, że budzący się patryotyzm każdej młodej duszy także podlega rozwojowi, przechodzi pewne koleje wzrostu i pogłębienia, tedy zadanie wychowawcy wobec uwag powyższych przedstawi się już samorzutnie, wyraźnie. Idzie o to, żeby ów rozwój przeprowadzać świadomie śladami Mickiewicza, w ten sposób proces wewnętrzny, który się raz w nim był dokonał, — zwielokrotnić, odtwarzać w duszach pokoleń, rozkrzewiać i hodować typ mickiewiczowski

życia duchowego. Tą drogą postępując, dojdziemy do tego samego rezultatu końcowego: do wmurowania w dusze jednostkowe najwyższego dorobku ducha Mickiewicza, — religii narodowości.

W jakiż tedy sposób, konkretnie biorąc, można to przeprowadzić? Nawracany znów do dotkniętego już kiedyś zagadnienia: jak to się ma uczyć ż y w o t n i e Mickiewicza i patryotycznych pisarzów polskich XIX w., jaka jest owa metoda, co ma zastąpić objektywne historyczno-literackie poznanie?

Jeżelibyśmy określili dotychczasową metodę dydaktyki w tym przedmiocie, jako metodę pojmowania i utwierdzania w pamięci, to w przeciwieństwie do niej nazwiemy tę nową: — metodą p r z e ż y c i a, metodą doprowadzania do osobistych doznań i wewnętrznych przepracowywań.

Zadanie nauczyciela staje się o wiele trudniejsze; już teraz chodzi nie o to tylko, żeby podniecić zainteresowanie uczniów, pamięci ich dopomódz mnemotechniką, sprawić, by w i e d z i e l i o tym lub owym fakcie, o d c z u w a l i ten lub ów przejaw piękna, ale o to, by zdołać potrącić ich istotę duchową, rozbudzić w niej pewną, świadomie określoną pracę wewnętrzną i pokierować nią.

Na przykładzie konkretnym można będzie myśl jaśniej uprzytomnić i uplastycznić.

Już u samego progu biografii duchowej Mickiewicza natrafiamy na zjawisko przedziwnego pię-

kna i wartości: — filomatyzm, — zrzeszoną pracą młodych przyjaciół nad ukształtowaniem w sobie charakteru. Pominąć go nie może wychowawczy nakaz wtórnego przeżywania. Sposobność to nieoszacowana do popchnięcia młodych dusz: — idźcie i wy w tamtych ślady, podejmcie ich myśl i pracę! Ukształćcie w sobie uczciwie i wytężenie — bezinteresowną uczynność przyjacielską, wprzęgajcie młodą wolę do walki ze złemi skłonnościami duszy, z płużeniem swemu lenistwu, egoizmowi i swawoli, do upartej walki o czystość ciała i myśli, o prawość wewnętrzną! Stajcie się w sobie godni przyjęcia w grono Jeżowskiego, Zana i Mickiewicza, uczcie się — jak oni — czynnie kochać cele szczytne, wysokie.

Nie polskaby to była młodzież, coby została głucha na podobne wezwanie. A gdy usłucha, wtedy dopiero zadanie się otwiera dla wychowawcy właściwe: — długą, codzienną pracę zorganizować, dobrą wolę pierwszych zaprzysiężeń podtrzymać, budzić inicyatywę i skierowywać, gdy zajdzie potrzeba. Poprzez upłyniony wiek znowu wstanie w ten sposób filomatyzm wileński, siecią ognisk rozkrzewi się wśród młodzieży polskiej, jako żywa potęga, rodzimy typ pracy samowychowawczej, zaczyn prawości i siły charakteru w nadchodzącem pokoleniu.

Byłaby to zarazem — że wtrącimy nawiasowo — doskonała sposobność do spełnienia innego

zadania wychowawczego, co tak całkowicie przeocza dzisiejsza szkoła, do zorganizowania wśród młodzieży przyjaźni szlachetnych. Ten tak doniosły czynnik życia społecznego: przyjaźń z lat szkolnych, zawiązuje się przecież w lwiej części byle jak i kiedybądź, samopas; wychowawca nie ma w tem najmniejszego udziału. To też faktycznie t. zw. przyjaźń z ławy szkolnej, dzieło kapryśnego przypadku, bardzo rzadko bywa czemś więcej, niż czczym frazesem. Rozbieżne zainteresowania rozrywają niedawnych kolegów już u bramy szkolnej, każdy idzie w swoją stronę; o ciągłości duchowego rozumienia się i porozumiewania, o istotnem współdążeniu, podtrzymywaniu się wzajemnem w zamiarach i w wytrwałości po niejednej życiowej klęsce — ani mowy!

A przecież taka wspólność wewnętrzna, łączność pracy i myśli, jakie się zadzierzgnąć mogą w młodych duszach, to żywy, doniosły czynnik społeczny, to źródło siły, czasem o wiele więcej warte, niż niejedna najszczytniejsza wpojona »zasada«.

Jedną z przyczyn tego ujemnego bezsprzecznie zjawiska jest doraźna przypadkowość zawieranych przyjaźni. Powstają z przypadku, jak wspólność mieszkania, sąsiedztwo w klasie l. t. p., a nie z doboru naturalnego. Otóż właśnie wola wychowawcza to sprawić musi, by czynnikiem decydującym było pokrewieństwo dusz, wspólność

Biblioteka Wojewódzka Pedagogiczna Radom

umiłowań szczytnego celu, wspólność pragnień i lotów.

Ten to sekret przecudnie właśnie rozumieli filomaci, najściślej przestrzegali doboru naturalnego przyjaźni. »Wniósłby tylko tępy, że wszyscy wolne mają do nas wstępy« — oświadczał Mickiewicz. Jakoż istotnie — pokrewieństwo dusz było istotną towarzystwa zasadą. Ale też raz zawarta taka przyjaźń szlachetnych przetrwała klęskę rozgromienia, śledztw i więzień, wyniosła się ponad czas i przestrzeń. Na dowód wystarczy wejrzeć w stosunek Zana z Mickiewiczem na wygnaniu, przeczytać choćby jeden list Jeżowskiego do Mickiewicza na emigracyi. Jak się ci ludzie podtrzymywali wzajemnie, jak się rozumieli głęboko po dziesiątkach lat!

Otóż troskliwe wychowanie może taką właśnie przyjaźń duchową, nierozerwalną zainicyować, uprawdopodobnić. Trzeba na to tylko świadomie zorganizować, zrzeszyć szlachetnych, powiązać ich między sobą obudzoną wspólnością, umiłowań i współpracy, uprawić, przysposobić ich dusze wzajemnie do przylgnięcia, powiązania się na wyższym poziomie przyjaźni.

W odrodzonym przez osobiste przeżywanie filomatyzmie — sposobność do tego niezrównana.

W podobny sposób przepracować winien uczeń najdosłowniej osobiście całą kalwaryę narodowej troski Mickiewicza: i rosyjską epokę wygnańczą,

i trud utwierdzania w sobie człowieka etycznego w Rzymie i w Dreźnie, i okres zakonnej niemal pracy narodowej w Paryżu; drogę, przy której, jak obeliski śmigłe, stoją *Oda do młodości*, *Wallenrod*, *Dziadów* cz. III. i najwyższy szczyt jej w słońcu: *Pan Tadeusz*. Wtedy to cała ta droga, dotąd cudza, upowszedni, upodmiotowi się dla polskich pokoleń, stanie się najdroższą, najczulej umiłowaną, bo własną.

Po tem, co powiedziano o centralności Mickiewicza, jasne chyba będzie, że zastosowana do niego metoda wychowawcza osobistych doznań daleką jest od wyłącznego k u l t u osoby. Łączyło się to życie, i łączyć będzie przeżycie wtórne, ustawicznym węzłem serdecznym z naczelną dążnością narodową całej epoki; jak w filomatyzmie, tak w pracy nad religijno-narodowem odrodzeniem emigracyi, w mesyanizmie wreszcie, jest Mickiewicz zawsze jednostką reprezentatywną, mocno powiązaną z życiem współczesnego pokolenia. Poprzez niego poprowadzić można drogę do dusz reszty pisarzów-współprzewodników narodu i do psychiki szerokich mas owoczesnego społeczeństwa; słowem przeszłość istotnie przybliżyć i w sobie ożywić.

Wobec tego sądzić chyba wolno, że przyszła dydaktyka historyi nowszej literatury polskiej nie będzie mogła przejść obojętnie wedle wskazanej tu metody żywotnego nauczania minionych war-

tości duchowych, że owszem metoda nawrotnego przeżycia, przynajmniej do kilku naczelnych jednostek zastosowana, stanie się kluczem wzmożonego budzenia świadomości narodowej, czynnikiem nieprzerwanie, konsekwentnie prowadzonej pracy obywatelskiej. Przyjęta zaś raz za wytyczną w przyszłem wychowaniu polskiem, uzyska sprawność, rozwinie się do pełnej szczegółowości, a ogrzana serdecznem ciepłem umiłowania — zwycięsko odeprze sceptyczne wytwarzania i zarzuty.

Z zarzutów najznaczniejszy — da się nawet przewidzieć. Z pokrewnego powodu pisał już raz ktoś zgryźliwie o ludziach, »których wskazówka życia przystanęła na Mickiewiczu«, t. zn., którzy w zbytniem przylgnieniu, zacietrzewieniu się do przeszłości — zabili własną twórczość, własne na świat spojrzenie, są pośród nas ludźmi wczorajszymi.

Podobny zarzut skostnienia możnaby z tą samą rzekomą słusznością uczynić naprzykład malarzowi, który, pragnąc wniknąć w tajemnicę techniki wielkich mistrzów, wydrzeć im ją, kopiuje — ucząc się — ich dzieła, przecież nie na to, by »wskazówkę« swego talentu »zatrzymać« na nich, lecz owszem, by zawładnąć spełna ich mistrzowstwem i iść dalej, do własnego dzieła.

Co się zaś tyczy zakresu życia duchowego, przypomniećby można na taki zarzut pełne głębokiej

mądrości słowa Mickiewicza z prelekcyi o »człowieku wiecznym«, który także przeżywa wtórnie przeszłość ludzkości, iżby wszystko, co w niej było wielkiego i czystego — wziąć w siebie, jako ziarno usiewne i jako siłę. Siłę oczywiście na swą własną, dalszą twórczość. Postęp rzeczywisty bowiem zachodzi wtenczas tylko, gdy dorobek chwili dzisiejszej wychodzi p o n a d, a nie p o z a przeszłość. To prawo obowiązuje i w duchowem życiu narodu.

(»Szkoła Polska«, Lublin, 1916, zesz. 10).

WARTOŚCI WYCHOWAWCZE „PANA TADEUSZA".

Ceterum censeo: »Panu Tadeuszowi« dzieje się w Polsce krzywda! Już mniejsza o obcych, mniejsza o zagranicę! Przeboleć możemy, że w szkołach europejskich nie czyta się i nie rozbiera »Pana Tadeusza«, jak się to należy dziełu, po Homerze chyba pierwszemu w epice; przecierpimy i to, że prawodawcy ruchu estetycznego, że wielka krytyka literacka Anglii czy Francyi o nim — ze swoją oczywiście krzywdą — milczy. O to jeszcze mniejsza.

Wiemy, że przyczyną tego faktu nie jest trudność naszego języka, języka, którego — jak zaświadcza prof. Brückner — piękność wokalizacyi niema równej sobie w Europie.

Wiadomo, że języków obcych i bardzo nawet trudnych uczymy się, nie tylko dla ułatwienia sobie spekulacyi handlarskich, czy innych, ale i dla

możności bezpośredniego czerpania wargami spragnionemi — u żywego źródła arcydzieł świata. Dla Homera, Horacego, Danta, Szekspira, Goethego, uczymy się języków. Więc i dla »Pana Tadeusza« nauczyć się po polsku i historyi polskiej — można i warto.

Przyczyną pomijania »Pana Tadeusza« i całej naszej wielkiej twórczości w Europie jest inny, głębszy, fakt. Jest nią cecha znamienna, szczytne nieszczęście literatury i ducha polskiego: t. j. ich przepojenie miłością ojczyzny, ich wyłączny patryotyzm.

»Cała literatura polska wyrosła z tego jednego słowa: o j c z y z n a« — świadczy Mickiewicz.

Niema drugiej literatury, tak wyłącznie patryotycznej, jak polska. Najwyższe nasze dzieła są niemożliwe do dobrego przetłomaczenia, zawartość ich da się odczuć w polskiej tylko mowie, na polskiej ziemi, w polskiem powietrzu i w polskiej tylko duszy. Najwewnętrzniejsza ich treść, duch bezprzykładnej miłości ojczyzny, ten duch ściera się pod twardą ręką cudzoziemca, cofnie się przed chłodną, obojętną dla spraw jemu obcych — »półuczucia żadnością«. Próżnobyśmy przekładać i przekonywać chcieli, nie pojmą nas, jak nie pojęli Żydzi motywów chrześcijańskiego poświęcenia się gajowego — w przypowieści »Ksiąg pielgrzymstwa«. Nie pojmą, aż się nawrócą, aż dociśnięci twardą dolą, poznają, co to jest prawdziwa

narodowość, co to jest miłość ojczyzny, jako najwyższy wykładnik życia duchowego. Dopiero gdy ludy europejskie odróżnią pojęcie »naród« od państwa, gdy uorganizują swe współżycie na podstawie bratersko-narodowej, a nie na przeciwwadze przemocy militarno-państwowych, — dopiero wtedy — możemy się pocieszyć niechybną, choć i niekorzystną pociechą — wtedy to wejdą w przybytek naszego »narodowego pamiątek kościoła« obcy *kulturreisenderzy* i duszę swą poddadzą zachwytowi i czoło kornie pochylą, przed żarliwą świętą wiarą Mickiewicza, przed bohaterskim, słoneczną nadzieją prześwietlonym, torsem »króla-ducha«, przed anielską miłością Krasińskiego, przed boleściwą duszą Wyspiańskiego...

Ale czasy to jeszcze dalekie.

Niedocenienie jednak najwyższego dzieła polskiego przez obcych — przeboleć jeszcze bez trudu możemy. Ale powtarzam: »Panu Tadeuszowi« dzieje się w Polsce krzywda, na polskiej ziemi i od Polaków.

Żeby już w zakresie wychowania pozostać, to przypomnijmy: »odrabia się« w Galicyi »Pana Tadeusza« w piątej klasie gimn. przez jedno półrocze — oczywiście z nieuniknionem »stąd-dotąd«; odrabia się w wieku mniej więcej 16 roku życia, kiedy o wyczerpaniu całej głębi zawartości dzieła — ani mowy; odrabia się, nadbudowując nad arcytworem ducha polskiego mimowolną asocyacyę z czemś obowiązkowo nudnem, martwem. I to uczucie zostaje wobec »Pana Tadeusza« przeważnie na całe życie. Tak to podjęcie wychowawcze, które miało ożywiać — zabija, które miało odkrywać wartości — zaciemnia, odsuwa od źródła życia polskiego tych, co to później na świeczniku narodu!...

Kto dziś, rozejrzawszy się naokół, nie przyzna, że »Pan Tadeusz« niedoceniony jest przez społeczeństwo polskie gruntownie? Kto wskaże w »inteligencyi« ludzi, którzyby planowo, świadomie powracali do lektury »Pana Tadeusza«, ot-dla własnego skrzepienia ducha? Powraca się do Sienkiewicza, do Rodziewiczówny, do Kraszewskiego nawet, czyta się ich po kilka razy, — do »Pana Tadeusza« — nie!

Ale każdy z uszanowaniem pochyli głowę, przyświadczy, że to przecież chlubny klejnot narodu. Tak, któryś tam z nich nawet powiedział: »mybyśmy woleli, by nas mniej uwielbiano, a więcej czytano«. — Czy nie jest to objaw w życiu narodu nienormalny, czy to nie jedna z przyczyn naszej przeciętnej płytkości patryotycznej? »Romantyzm sobie buja, wodzi, a światek coraz niżej schodzi«. Tak, zaiste, ale nie romantyzmu, nie poezyi to chyba wina.

»Panu Tadeuszowi« dzieje się w Polsce krzywda. Winien być podwaliną wychowania polskiego, a wyznaczono mu w szkole szary, ciasny kącik;

winien być podkładem i wytyczną życia ogólnopolskiego, narodowego, towarzyszem nieodstępnym, a jest jakimś czcigodnym gratem, który w oprawie z platonicznych czczych uwielbień leży w pyle szacunku, wydobywany tylko na okaz przed cudze oczy w chwilach parady narodowej. Grecy, odsunięci o całe wieki od epoki trojańskiej, uczynili Homera ośrodkiem i szczytem swego dzisiejszego wychowania [1]), »u nas inaczej, inaczej, inaczej«.

Wieluż jest takich, d o s ł o w n i e takich, jak Maciek Prusak?

»Ilekroć z P r u s powracam...
wpadam do Soplicowa jak w centrum polszczyzny;
tam się człowiek napije, nadysze ojczyzny!«

A nie jest to moje biadanie; rzecz to straszna, to bezwyjątkowe krzywdzenie szczytów twórczości polskiej. Czyż mamy się stać jak Niemcy, co wyparłszy się wielkich swych duchowych przewodników, — uprawiają spokojnie ucisk i bezprawie wobec podbitych? Czyż mamy kopać przepaść między sobą, naszem życiem, a wskazaniem wodzów, wieszczów? mamyż się sprzeniewierzać duchowi narodowemu, czcić go w dni wolne od zajęć, w dziedzinie abstrakcyi? — »tu serce, a tam interes?«

[1]) Karol Kramarczyk: »Kilka uwag w sprawie nauki języka pol.«. Jasło, 1910, str. 5.

Czy to nie znamienne, że literatura mickiewiczowska prawie że przycichła? Jemu umyślnie poświęcony rocznik, — rychło przekształcił się na pismo ogólno-literackie, rozprawy o jego życiu i twórczości to białe kruki, a o samym »Panu Tadeuszu« od czasu nieostatecznej przecież rozprawy Gostomskiego — głuche milczenie! Do dziś nie mamy pełnego, poprawnego wydania jego dzieł, w lat 60 po śmierci! Nie jest to zjawisko, obchodzące jedynie historyka literatury, to objaw społeczny, to symptom faktycznego uformowania konstrukcyjnego duszy polskiej, współczesnej. Sprawa więc o znaczeniu powszechnem.

*
* *

Kiedy już mamy mówić o wartościach wychowawczych »Pana Tadeusza«, to trzeba się porozumieć u wstępu co do zakresu zamierzenia.

Powie ktoś: »Pan Tadeusz« jest dziełem o nieskalanej artystycznej linii piękna i wzniosłości, więc spełnia właśnie swą funkcyę wychowawczą: ulepsza, podnosi na duchu wszystkich, którzy w niego wejdą. Tak np. ulepsza i podnosi odczucie pięknego krajobrazu, widok groźnie szalejących żywiołów natury i t. d. I w powiedzeniu takiem będzie duża część słuszności.

Dzieło najklasyczniej piękne, najdoskonalej wzniosłe, byłoby dla nas martwym objektem, gdybyśmy nie potrafili włożyć w nie, wyczuć w niem naszej własnej jaźni, — nie tej oczywiście teraźniejszej, doświadczeniem wewnętrznem poznawalnej, bo ta nie zawsze mogłaby w nas podziw wzbudzić, ale jaźni wytęsknionej, ideału jaźni doskonałej, jakąbyśmy w sobie mieć chcieli. Poczucie wzniosłości dzieła sztuki czy przyrody, — jest poczuciem wzniosłości tej naszej, wkładanej w nie, szczytnej duszy. Na tem głębokiem spostrzeżeniu Kanta zbudował swą estetykę wzniosłości Schiller, a ostatnio T. Lipps.

Z tego stanowiska jasnem będzie, jak wielką jest funkcya wychowawcza każdego przejawu piękna i wzniosłości. Człowiek poprostu, odczuwając przepaść, jaka oddziela jego jaźń rzeczywistą od wyczuwalnej w wielkiem dziele — jaźni wymarzonej, jaźni — wzoru i kresu doskonałości wewnętrznej, odczuwając żywo tę przepaść, wytęża siły, by ją zmniejszyć, zasypać, by przerzucić wiązania mostu między tym a tamtym brzegiem, by teraźniejsze swe »ja« podnieść, wydoskonalić, jednem słowem: czuje się pobudzonym do pracy etycznej nad sobą. To jest istota owego oczyszczenia, którego Grecy się doszukiwali w dziele tragicznie wzniosłem.

Spostrzeżenia te dotyczą każdego przejawu piękna. »Jednocześnie jesteśmy — powiada wspomniany już Lipps — przez piękno i sztukę podnoszeni ponad siebiesamych. Com wyżej sądził o wzniosłości, dotyczy w pewnej mierze każdego piękna, każdego dzieła sztuki. Wkładamy bowiem w nie: nie swoje empiryczne *ja*, nie siebie samych, jak w rzeczywistości jesteśmy, ale *ja idealne*, więc idealniejsze, t. zn. czystsze, szczersze, wyższe *ja*. Każde piękno, w momencie kiedy się niem rozkoszujemy, czyni nas lepszymi, pełniejszymi, więc moralniejszymi ludźmi«[1]).

Na tem polega rola wychowawcza sztuki. I rolę tę spełnia »Pan Tadeusz«, najwyższy twór polskiego piękna i wzniosłości. Wystarczy jakaś dobra, spokojna chwila wczytania się jasnem, niezmąconem okiem w proste słowa powieści, żeby być pochłoniętym przez kojące, szczytne ich piękno, by być podniesionym, oczyszczonym z marnych naleciałości dnia, żeby obcować z doskonałością twarzą w twarz, i żeby nabrać osobistego przeświadczenia o tej dziedzinie wartości polskiego arcytworu.

Powie ktoś inny: »Pan Tadeusz« jest syntetycznem ogarnieniem dawnego życia polskiego, jest rzetelnym obrazem przeszłości, wypadków, ludzi, ich trosk, zabiegów, radości i smutków, słabostek i szczytności, słowem całego życia w dni powsze-

[1]) Theodor Lipps: »Die ethischen Grundfragen« Lipsk, 1905, str. 201.

dnie i świąteczne, w pracy i w boju. A jako taki wizerunek dawnej Polski, — jest zarazem zwierciadłem, w którem każdy dzisiejszy swoją marność i przyziemność »snadnie oglądać może«, z czego może czerpać tęsknotę na przeżycie jednego choćby dnia tak górnie, jak tamci żyli całe życie. I ta dziedzina wartości »Pana Tadeusza« przyjęta być musi i ta strona wyzyskana być powinna w wychowaniu polskiem do dna.

W czasach dzisiejszych, w czasach grzęznących w intellektualizmie, rozhuśtanych pogonią za wszelką nowością powiedzeń, za oryginalnością, choćby dziką, paradoksalną, oryginalnością choćby za wszelką cenę, choćby za cenę sensu, w czasach takich, przejmując zresztą tylko termin i myśl Nietzschego, wysunięto w pewnym odłamie publicystyki jako zagadnienie rzekomo najżywotniejsze, najpilniejsze do rozwiązania, — zagadnienie walki z kultem przeszłości w sobie samym. Nikłe barki wzdrygnęły się przed osobistą odpowiedzialnością za cokolwiek poza sobą; one tak rzadko mają moc za siebie odpowiadać. Wzięto za motto wyznanie któregoś z niedołęgów z »Wesela«: »to dawność tak z nami walczy« — i poczęto się tej dawności gwałtownie wyrzekać. Wszelką przeszłość, poczucie historycznej z nią łączności — uznano za balast, za pęta. Człowiek dzisiejszy — głosi się — ten jest wolny, który jest historycznie i etnograficznie i społecznie

i Bóg wie jak tam jeszcze — sam. Poczucie organicznego związku z przeszłością pojęto jako słabość, nieomal jak winę. Około tego zagadnienia zbudowano wiele teoryi, napisano parę traktatów etc.

Sprawa jest dla dzisiejszych czasów wprost symbolicznie charakterystyczna. Oto bowiem już zmarły, niezastąpiony, tak na siebie tylko liczący, nie trwożny przed konsekwencyami swych myśli człowiek, jak Stanisław Lack, — już on przesądził, że kto się wyzbył »przeszłości, ten wyzbył się w istocie siebie samego, stał się człowiekiem, którego dusza zwie się czczość. Otrzepujemy oto bowiem stare, spłowiałe mebelki myślowe z końca XVIII w. Wtedy one nosiły dość błyskotliwe miano »powrotu do natury«.

Człowiekowi żywemu i chcącemu żyć nie o walkę z »dawnością« chodzi, nie o wymiatanie z siebie przeszłości, ale o przyjęcie jej, o przerobienie na własny oręż, na własną siłę do własnej walki. Ma się przeszłość ująć poprzez dzisiejszość i przerzucić od niej pomost w jutro.

I tę sprawę rozsądził stanowczo i ostatecznie już A. Mickiewicz. Mówi on: »Trzeba uczuć się członkiem swojego kościoła, synem swojego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie swojej duchowej i doczesnej, trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót, jakie naddziadowie nasi zdobyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych.

Trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymać na ołtarzu swego ducha, aby, cokolwiek było w historyi świętego, prawdziwego i wielkiego, — znalazło się w nas jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła«. (Liter. słow. IV. 147).

I choć mózgowiec współczesny, grający w słowa jak w kości, — zaprzeczy nam tej ostatniej wartości wychowawczej »Pana Tadeusza«: życiotwórczego podania dziejów, syntetycznego obrazu przeszłości naszej — to nad sądem takim przejść możemy w spokoju. Jednodniowy on i wykazuje piętno niemocy, a nie pęd ku wyzwoleniu, ku mocy.

Ale tu obecnie o żadną z tych dwu wartości wychowawczych nie chodzi, ani o wzniosłą piękność, ani o żywotność historyczną. Obchodzi mnie bowiem zupełnie osobne zagadnienie: czy w »Panu Tadeuszu« mówi się o polskiem życiu, jakie ono być powinno; czy dotyka wieczyście dręczącej zagadki podniesienia duszy człowieczej ponad niedolę powszedniego istnienia? Słowem, czy »Pan Tadeusz«, opowiadając przeszłość, uczy jak w przyszłość iść należy?

Sprawa zdawałaby się z góry przesądzona — wobec tylekrotnie i tak gruntownie wykazywanej epickiej objektywności poematu.

Mickiewicz — mówi się, — w dużej zresztą

mierze zgoła słusznie, zniechęcony wirami wielko-emigracyjnymi, ich teoryo-, polityko-, adreso- i wszelką inną manią, widząc, że przyjęcie i wpływ »Ksiąg pielgrzymstwa« nie odpowiadał ich zamierzeniom, — cofnął się w siebie, odciął się od stuków, przekleństw i potępieńczych swarów wychodźtwa na bruku paryskim, drzwi od Europy zamknął hałasów i szedł po wielkim szlaku tęsknoty — jak Anhelli po złotym wód gościńcu — na północ, na pola malowane zbożem rozmaitem, między dawne, proste dusze, w ich sprawy i dni, zabawy i spory wśród cichej wsi litewskiej. Tak gotował swej duszy utęsknionej leczącą złotą kąpiel w słońcu i powietrzu ojczystem. Gotując ją, niczego nie chciał od siebie ni świata, krom ulgi tęsknocie i krom uleczenia żywem, plastycznem, pełnem przypomnieniem Ojczyzny.

A wobec takiego ustosunkowania pobudek i władz twórczych do przedmiotu tworzenia, — niema mowy o jakiemkolwiek zamierzeniu wychowawczem poematu. Intencya z dziedziny apostolstwa — bo pytanie powyżej stawione jest przecież jednem z odgałęzień zagadnienia apostolstwa — intencya taka w »Panu Tadeuszu« byłaby czemś przypadkowem, jakimś narzutem, tendencyą, anachronizmem, stałaby w dysonansie ze stwierdzoną epicką objektywnością arcydzieła.

Takie jest przeciętne powszechne pojęcie »Pana Tadeusza«.

Otóż zdaje mi się, że jest to gruby przesąd i nieporozumienie, a utwierdzać go w sobie i drugich mogą tylko ludzie, którzy — jak powiadał Frycz Modrzewski — »sylaby słów liczą, a rzeczy w sobie nie uważają«. Stwierdzić to trzeba raz jeszcze z całą stanowczością: prawdziwa twórczość artystyczna nie jest nigdy procesem przypadkowym, ani połowicznym. Ogarnia całą duszę i uzewnętrznia ją całą w prawdzie i szczerości. Dzieło sztuki, gdy niem jest, jest i być musi pełnym, niekłamanym wizerunkiem całej duszy twórcy. Bez prawdy, bez szczerości w przerzucaniu swych wewnętrznych doznań na ekran sztuki — niema piękna; kłamane, stylizowane uczucia, radości i bóle, będą co najwyżej uroczystą, wyblakłą draperyą, którą się czczość i nijakość wewnętrzna melancholijnie otula. Więc też barbarzyństwem jest i krzywdą — odrywać rozważanie i rozumienie owoców twórczości od rozumienia i sympatycznego przeniknięcia duszy twórcy. Krytyka wyłącznie artystyczna jest krytyką wyłącznie mordującą i bagatelizującą wszelkie piękno.

Ex abundantia cordis os loquitur — powiada Pismo. I nigdzie nie jest to oczywistszą prawdą, niż w dziedzinie twórczości, do nikogo chyba nie może być tak słusznie stosowana, jak do Mickiewicza właśnie. Z obfitości serca mówił on zawsze, całego siebie rzucał bez zastrzeżeń w każde swe poczynanie, chadzał w prawdzie. Tak było w romantyzmie i tak w towianizmie. I żaden bezkostny objektywizm epiczny nie zdołałby przytłumić tej jego wartości. Był pełnym sobą. Między zamierzeniem a wykonaniem, między natchnieniem a czynem, między stanem wewnętrznym, a jego uzewnętrznieniem — nie znał rozdziału.

Jeżeli tedy mamy mówić o wartościach »Pana Tadeusza« z zakresu zagadnień mickiewiczowskiego apostolstwa, to trzeba przedewszystkiem rozejrzeć się w duchowem życiu wieszcza z tego czasu, a co tam znajdziemy jako klejnot drogocenny, tego nam niechybnie wypadnie poszukać jako takiejże wartości w oprawie »ciemnego sosen uroczyska«, w oprawie szlacheckiej opowieści.

Jakież było tedy wówczas oblicze życia wewnętrznego poety?

Koleiny trudu mickiewiczowskiego w zakresie między szczytami: »Wallenrodem« i »Księgami pielgrzymstwa« — odrysować usiłowałem w rozprawie o »Księgach«. Tutaj rezultaty ostateczne — o ile mi do obecnego celu potrzebne — jeszcze raz streszczam i ogniskuję.

Kolein tych dwa są równoległe, miejscami o siebie się zadzierzgujące ramiona, jednem: troska o naród (zagadnienie służby narodowej), drugiem troska o jaźń własną (zagadnienie jednostkowej mocy). Wspólnym, silnie powiązanym torem biegły one obie w kuźnicy filomackiej, rozszczepiły się zaś boleśnie na wygnaniu, w Rosyi. Etapami

pierwszego ramienia są: farysowy okres wallenrodyczny, przedpowstańcze przypadnięcie ducha w cieniach starorzymskiego Colosseum, wreszcie powstanie listopadowe, a raczej jego klęska. Wyznacznikami drugiego: Oleszkiewicz, X. Chołoniewski, Lamennais i Tomasz à Kempis. Koleiny obie zbiegają się w wielkiej »chwili przeznaczenia«, w Improwizacyi, i odtąd już biegną równolegle, aż połączył je i związał ze sobą towianizm, jak przesłoneczniona, lazurowa odległość łączy w jeden wspólny szlak koleiny kół wozowych na drodze dalekiej wzwyż.

Wychodzimy więc z połowy drogi, od przepastnej, bezapelacyjnej wiary w jednostkę, w możliwość zbawienia narodu przez ofiarną wolę jednego bohatera, a bez narodu jako zbiorowej całości. Tak zbawia Litwę Grażyna, tak Wallenrod. Wszystkim im, tym romantycznym bohaterom, był naród — jako zbiorowa wola, zbiorowy czyn — niepotrzebny. Wychodzimy od ufnego w siebie, na zaniedbaniu zbiorowości zbudowanego, pogańskiego prometeizmu. Ten skończył klęską. Wallenrod załamał się w sobie, nie zdobył się na tryumfalną radość zwycięstwa, jaka z ugruntowania pewności płynie. Uczucie, na którem on czyn swój oparł, zawiodło, choć było niem czyste, kryształowe uczucie miłości Ojczyzny, nie było jednak samo w sobie sprawdzianem i uświęcicielem wartości. Z czystego uczucia wypływał czyn etycznie załamany.

Budowa służby narodowej na tych posadach zawaliła się, Farys nie znalazł mocy, by naród zbawić.

W tym momencie zmienia się oblicze trudu. Zaczyna się długa, bolesna kalwarya walk o siebie samego, o czcigodność własnej duszy, tamta, narodowa koleina przyciera się, zato druga wżłabia się głęboko, boleśnie głęboko.

Oleszkiewicz może mu wskazał, że ufna pewność siebie, romantyczne poczucia własnej mocy, »nie wziętej z drzewa wiadomości złego i dobrego«, nie darowanej, nie zdobytej mózgowym wysiłkiem, ale mocy wrodzonej, apryorycznej, samoistnej, że to poczucie kruche ma posady. Ono też zrysowało się już w Wallenrodzie.

Więc na czemże człowiek oprzeć się ma, by miał p e w n o ś ć? Oleszkiewicz, jak Plato w Dyspucie rafaelowskiej, wskazał niebo, poprostu wrócił Mickiewiczowi przygasłą religijność — jak zapisują współcześni. Prawdziwie, jak szerokie obszary, jakie głębie niespodzianego znaczenia kryją się pod przytartemi i zmatowanemi słowami powszedniego użytku!

Człowiek łaski — rozumiał teraz Mickiewicz — który z nieba wyrozumienie spraw i utwierdzenie bierze, ma grunt pewny pod sobą i moc rozległą, jak moc Samsona. A na to mu potrzeba: 1) rozpotężnić własne uczucie, 2) rozumne, gromowładne czoło »ugiąć przed Panem, jak chmurę przed słoń-

cem«. Wtenczas to dopiero jednostka, silna uczuciem oczyszczonem, Bożą prześwietlonem łaską — zdziałać może cuda. Romantyczny kult swobodnej jednostki taki miał szczyt i kres; określić go można jako chrześcijański prometeizm.

To stadyum życia duchowego przypada na początek rzymskiego okresu. Dalszy jego proces rozwojowy i zarazem skłon dokonywa się w promieniu uroku Tomasza à Kempis. Jego zaś owocem jest wyższy szczebel wzniesienia, mianowicie: przeświadczenie, że nawet taki uświęcony prometeizm, jako że na »pysze« zbudowany, uroszczeniem jest człowieczem. A prawdą zasie jedyną zaparcie się siebie samego, przekreślenie swej jaźni, najpełniejsze zaofiarowanie jej całej, jej nadziei, ambicyi, uczuć ziemskich, światowych — zaofiarowanie dawcy wszystkiego, Bogu.

I pod tym znakiem stanął i tę szkołę terminowania życiowego z całą pasyą oddania przebył Mickiewicz. Wyrwało go z niej dopiero wielkie zakłębienie się boleści, jakie go ogarnęło po »drugiem wzięciu Warszawy«, po klęsce listopadowej rewolucyi. Oto w czasie, kiedy on, duchowy wódz, porał się ze sobą, naród mu się wymknął z czucia, odbiegł go, na własne zbiorowe zdobył się bohaterstwo. Prometeuszów nie potrzebował, bo miał w twardych, żołnierskich swych szeregach-prometejskich, na końcu bagnetu nabitych serc — tysiące!

Mickiewicz wyszedł z cieśni klasztornych, ochłonął. I zaczął gorączkową, rozpaczliwą pracę nad nawiązaniem nici między duszą swą a duszą narodową. W tę zbiorową, bohaterską duszę narodową uwierzył ślepo, ją to teraz wysunął jako najwyższą instancyę i cel swoich czynów. Przyjął kult narodu — zbiorowości, kult bezimiennego, żołnierskiego bohaterstwa w masach narodowych. Podjął więc przerwany trud ustanawiania kanonu dla s w e j służby narodowej. Już służby, a nie przewodnictwa.

Nowe ustanowienie wyraziło się jako obowiązek zupełnego, zakonnego z a p a r c i a siebie, wyzbycia się własnych celów, ambicyi, własnych zamierzeń, szczęścia, nawet imienia własnego, nawet sławy, a to wszystko d l a o j c z y z n y właśnie. Nie będziesz miał nic wyższego w życiu nade mnie — mówiła mu ojczyzna. Wiemy, że nie miał.

Stanowisko to — widać odrazu — w czem różne od rzymskiego, w znaku »Naśladowania Chrystusa« podjętego ukonstruowania duszy. Nie jest to zaprzeczenie, ale przepojenie własną krwią, uwspółcześnienie i — u n a r o d o w i e n i e dawniejszego zakonnego a s c e t y z m u.

Ten nowem pojęciem obowiązku służby narodowej przepoił Mickiewicz każde swe uczucie, każdą myśl, każde poczęcie swoje. Przejawia się ono w każdem słowie, w każdym liście jego. Stało się poprostu drugą naturą. Poczucie obowiązku ofiary

z siebie wyrobił Mickiewicz w sobie jako instynkt. Tak to można ostatecznie i najdosadniej określić. Zdobył instynkt ofiary. Ten instynkt pragnął wyrobić w powszechności narodu, jako palladium wszelkich mocy.

W takim stanie ducha pisane były »Księgi pielgrzymstwa«, jakby katechizm nowej, polskiej etyki; wkrótce po nich — »Pan Tadeusz«.

A teraz, kiedy wiadomo co było wówczas dla wieszcza wartością najwyższą, teraz jasnem będzie, kędy jej szukać trzeba w »Panu Tadeuszu«. Poeta, którego już jedyną tęsknotą stało się wychowanie narodu do wielkości, nie mógł pod grozą nieszczerości, połowiczności, nawet w epickim poemacie nie mógł przemilczeć tej dziedziny swych uczuć, podkreślić ją musiał w »Panu Tadeuszu« właśnie w imię epickiej objektywności, t. j. zgodności z sobą.

Sądzę, że po tem, com dotychczas powiedział, »wszystkich oczy — jedna już tylko postać ściąga i jednoczy«, postać Bernardyna Robaka. I słusznie. W tę to właśnie postać wkrystaliły się te wartości, o które mi tu z założenia idzie. Robak jest szczytem polskiego życia. Co w »Księgach« podane jako nauka, wskazanie, — jest w nim uosobione, doskonale żywe; jakby tworzywo tamtej książki przeszło w ciało i krew jednego człowieka.

Jacek Soplica, okoliczny zawadyaka, żołnierz niezrównany, strzelec niechybny, człowiek z typu

zdobywców, »panów« według terminologii Nietzschego, typ, którego taka już jest konstrukcya psychiczna, że wszystko ku sobie ściąga siłą dośrodkową, wszystko zużytkowuje dla swej, a niczyjej innej woli, dla zadowolenia swego ja, człowiek ten zdołał przejść jakieś wprost nadludzkie chyba trudy — przetopić własną duszę, przetworzyć ją tak gruntownie, że jej rodzony brat nie poznaje, wymieść z niej egoizm, egocentryzm, prywatę, a osadzić wolę ustawicznego, wiecznie płonącego ognia ofiary za Ojczyznę. Wszystkiego się w życiu wyrzekł, zaparł nazwiska, nawet uczuć ojcowskich, wyrzekł się nieubłaganie, bezapelacyjnie. Wtedy dopiero zaczął czynić.

To też w miarę dokonywania się tego jego czynu, rubaszna twarz Robaka prześwietla się jakby aureolą świętości, nabiera blasku, żeby rozbłysnąć ostatecznie poprzez grób nieugaszonem światłem wzoru polskiej pracy narodowej, polskiego pełnienia synostwa wobec Ojczyzny.

I otóż w tem pokazaniu na przykładzie Jacka Soplicy, w pokazaniu, jaka ma być nasza służba narodowa, — w tem jest najwyższa, niczem się nie dająca zastąpić, wartość wychowawcza »Pana Tadeusza«. X. Robak to wplata w spokojne spadki słów szlacheckiej opowieści — wysoki rytm bohaterski, czyni z poematu dzieło szczytne, etycznie wznioślejsze ponad wszystko, co polska twórczość wydała.

Wartość ta wzmaga się przez jeden jeszcze fakt. Robak, chorąży najwyższej polskiego życia prawdy, bohater, nie wychodzi w poemacie, jak tradycyjni bohaterzy, na wysznurowanej, nieziemskiej wysokości codziennego życia, nie jak w smętek zórz polarnych ubrany Anhelli, ani jak owi królowie z bajek, którzy nawet do snu nie zdejmują korony z czoła. Niema w nim poprostu ani źdźbła kaznodziejskiego patosu. Poczciwym, cichym braciszkiem klasztornym widzimy go przez cały ciąg poematu, rysów bohaterskich nabiera dopiero w scenie spowiedzi.

Bo nowa nauka Mickiewicza o polskiem poświęceniu nie wymaga nadludzi, stalowych rycerzy, olbrzymów duchowych. W tem jej najżywotniejsza wartość, że pojąć i podjąć mogą ją wszyscy, a właśnie najprostsi, najcichsi w narodzie przedewszystkiem. A wskazania jej wypełnia się nie w jakichś »wielkich potrzebach«, wyprawach, przedsięwzięciach nastręczających bohaterstwo, ale w pośród szarych, codziennych kłopotów, trosk, w najmarniejszej nawet pracy najmarniejszego wyrobnika. Zwie się ona bowiem: n i e w i e d z ą c e o s o b i e — b o h a t e r s t w o d n i a p o w s z e d n i e g o, pojęte jako najprostszy, najbardziej sam przez się zrozumiały obowiązek. Rzecz bowiem w tem, by w każdem poczynaniu, w każdem zamierzeniu motyw ojczyzny występował żywo jako najwyższy czynnik postanowienia i wykonania. W tem wartość społeczna nauki Mickiewicza, w tem jej gwarancya wcielenia — najwyższa. Nie tworzy ona w narodzie jakiejś kasty zbawicieli, obowiązek powszedniego bohaterstwa rozlewa na wszystkich.

A że naukę taką, nie jako narzut, narośl przypadkową, nieorganiczną, ale jako swój fundament najtrwalszy i jako najbardziej własne, istotne, nieuniknione rusztowanie wewnętrzne — podaje n a j w y ż s z e dzieła ducha polskiego, w tem jest zapewnienie niezawodne, że nie brana ona z napływu przypadkowości, że taka jest ducha naszego narodowego istota i wola. W tem też radosna pewność, że, dojrzewając śladami Mickiewicza, przejrzą kiedyś dusze polskie, staną na szerokim łanie ofiary, by kłaść czyny swe narodowe jeden przy drugim zwarcie i pewnie, w rozradowaniu, jak żeńcy kładą na ściernisku pokosy zboża dostałego.

(»Prąd«, Warszawa, 1911, zesz. 6).

SKAUTING POLSKI
WOBEC ZADAŃ WYCHOWANIA NARODOWEGO.

Trudno dziś przesądzać o ostatecznej wartości skautingu, który, jak każdy system wychowawczy, wylegitymować się musi z obywatelstwa w dziejach zabiegów wychowawczych ostatecznymi dopiero, niezaprzeczalnymi owocami. Młody ten ruch, krzewiący się z żywiołową energią, znamionują jednak dwie wybitne cechy, które bodaj nierozdzielnie towarzyszą wszelkiej żywotności. Za cechy takie uważamy: 1) niebywale szybkie i rzetelne narastanie w treść wewnętrzną; 2) żywiołowo szybki rozrost przestrzenny.

Mając za sobą właściwie dopiero kilka lat istnienia [1]), porwał ruch skautowy do pracy mło-

[1]) Przegląd krytyczny całej, dziś już bardzo bogatej zagranicznej i polskiej literatury skautowej: podręczników i czasopism — podaje Ks. Jan Zawada: *Jak prowadzić pracę skautową.* (Wskazówki dla instruktorów, oraz program pracy skautowej). Kraków, 1913. Cena 2 K. — na str. 59—82.

dzież w całej bodaj Europie i daleko poza Europą. Przeszczepiony na obcy grunt narodowy, przeważnie przekształcał się odpowiednio do charakteru narodowego nowego podłoża i wzrastał zależnie od jakości celów ostatecznych, które młodzieży różnych narodów przyświecają. Co więcej, rozrost jego w ojczyźnie, w Anglii, przekroczył granice pierwotnego zamierzenia, wyrósł ponad swoje założenie; jak większość wielkich dzieł, odkryć, zawdzięcza i skauting swój rozwój nie tyle obmyślonemu z góry planowi, ile jakiejś raźnej, jakby przypadkiem napotkanej energii nurtu pod pokładami dusz młodzieńczych, niby źródła, tryskającego pod parciem podziemnych zbiorników.

Polski historyk początków tego ruchu, p. Bouffał, pisze: [1]) »Dzieło Baden Powella wyrosło niebawem ponad pierwotne zamierzenia. Czy w usposobieniu młodzieży angielskiej tkwiły już od dawna instynktowne impulsy, które odgadnął, zrozumiał i sprowadził do wspólnego mianownika wielki przyjaciel młodzieży, zwany dziś popularnie *the boys general*, wiedziony w danym wypadku dziwną intuicyą, czy też zbliżająca się fa-

[1]) Br. Bouffałł: *Boy scouts, Indyanizm w wychowaniu.* Warszawa, 1912 (zawiera wiele ciekawych wiadomości o powstaniu i rozwoju ruchu skautowego zagranicą).

talnie chwila ostatecznej rozprawy orężnej z Niemcami o panowanie nad oceanami wywołała w samej Anglii konieczność obmyślenia nowych form dla dawnych aspiracyi i upodobań, — dość, że w krótkim czasie niebywała fala entuzyazmu i zapalu do nowego systemu zalała nietylko Wielką Brytanię, lecz i jej kolonie... I zanim sam twórca systemu zdążył zorganizować »główną kwaterę skautów«, już przeszło sto tysięcy młodych skautów zjednoczyło się we wspólnej pracy pod znamiennem hasłem; *be prepared!* — bądźcie gotowi!«

Podobnym objawem wyrastania ponad pierwotne zamierzenia inicyatorów znamionuje się rozwój skautingu w Szkocyi, Szwecyi, Francyi, Finlandyi i w Niemczech. Podobnie stało się i u nas, w Polsce. Kiedy w zimie 1910/11 r. Sokół-Macierz we Lwowie otworzył parotygodniowy kurs dla instruktorów skautowych, nie mógł przewidywać, że daje początek ruchowi, który niebawem ogarnie prawie wszystką gorętszą i bardziej rzutką młodzież szkół średnich, dostanie się do organizacyi rzemieślniczych, przenikać zacznie na wieś. Tak żywiołowo rozszerza się przestrzenny zakres skautingu.

Ale z drugiej strony i sam generał-twórca, wpadając na pomysł zużytkowania młodzieńczej ochoty do służby polowej przy oblężeniu burskiego Mafekingu, ani przypuszczał, że zrealizowana myśl jego wyrośnie w czasie niedługim na jeden z najżywotniejszych motorów, na dźwignię wewnętrzną jakości moralnej, jak wśród młodzieży polskiej. Jest to jeden z bardzo wyraźnych i znaczących przejawów twórczej odrębności narodowej — to przekształcenie angielskiego pierwowzoru w pryzmacie duszy polskiej, przekształcenie, którego wskaźniki dowodnie stwierdzić można, zestawiając choćby np. angielski podręcznik Baden Powella, lub niemiecki *»Pfadfinderbuch«* Liona z podręcznikiem polskim Małkowskiego, a zwłaszcza z »Harcami młodzieży polskiej« Piaseckiego.

»Przez skauting — pisał Baden Powell — należy rozumieć co innego, niż zwykłą służbę wywiadowczą, jak ona jest obecnie praktykowana w czynnej służbie wojskowej. Skauting, właściwie mówiąc, jest to dalszy ciąg tej pracy nad udoskonaleniem samego siebie, którą od czasów niepamiętnych prowadzi ludzkość, zaczynając od dawnych wikingów i średniowiecznych Krzyżaków lub Hanzeatów, przez epokę odkryć geograficznych aż do naszych czasów. Pionierzy cywilizacyi, odkrywcy nowych lądów, podróżnicy i badacze stref nieznanych i wszyscy ci, którzy torują ścieżki dla zwycięskiego postępu ludzkości, stanowią typ ludzi doskonalszych w porównaniu z typem swego otoczenia, i nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy spróbować przygotować pewną część naszej młodzieży do wstąpienia w ich ślady, przynajmniej o ile chodzi o rozwój charakteru i mę-

skiej sprawności fizycznej. Skauting dąży wyłącznie tylko do zrobienia z chłopca dzielnego człowieka«. (Bouffałł, ibid., str. 34).

Z programowych słów tych, oraz z całej powszedniej działalności skautów angielskich widzimy, że wykładnikiem zamierzenia inicyatora jest bardzo wysoko i szczytnie pojęta dzielność i sprawność fizyczna. Skauting polski sięga g ł ę b i e j i s z e r z e j. Tęsknotą i dążeniem jego jest nietylko wychować ciało, ale i oprzeć sprawność fizyczną chłopca na opoce niezawodnej sprawności i czystości charakteru, oraz wysoce napiętej woli po temu, żeby się stać pożytecznym swemu narodowi.

»Mamy posiąść — pisano już u nas — sprawność i nieustraszoność przodków-rycerzy, zdolność i samorządność w poświęceniu, jaką mieli męczennicy polscy, ale przy tem wszystkiem musimy się opasać twardą, nieustępliwą obręczą trudnego, sfornego obywatelstwa. Musimy wygluzować z natury polskiej samowolę i jednostkowe sobkostwo, luzacką nieusłuchliwość i nieporadność. Musimy! Bo każdy z nas ma być budowniczym i żołnierzem odrodzenia ojczyzny«[1]).

Ma więc skauting polski odrębne swoje oblicze, ma wyraźnie swoją, polską świadomość celu.

[1]) »Skaut«, pismo młodzieży polskiej. Lwów, 1912, nr. 10.

A przybierając te cechy z nowego podłoża, nie stracił cech macierzystych: rozmachu w żywiołowym rozroście i trwałości ścisłego zrzeszenia myśli i pracy w sforne, zbiorowe skupienia społeczne. To chyba dosyć, by uznać w tym ruchu doniosły, twórczy czynnik życia współczesnego. A że ogarnia on rzesze młodzieży, jako pokłady społeczne najochotniej podatne pod uprawę i rozrost, że jest czynnikiem wychowania pokoleń, więc wartość jego tem donioślejsza. I założeniami i dorobkiem zasłużył już sobie skauting polski na to, że można do niego przykładać najwyższy polski sprawdzian, można go pytać o świadomość p r z y d a t n o ś c i n a r o d o w e j, można świadomość tę pogłębiać i potęgować.

* * *

Narzuca się zaraz na wstępie pytanie, gdzie tkwi tajemnica tej bezprzykładnie tęgiej żywotności, rozpędu w rozroście skautingu, opartego nie na przyjemności i wygodzie, lecz na surowej dyscyplinie i spartańskiej prostocie życia? Przyczyn tego zjawiska — jak zresztą w każdym ruchu społecznym — jest sporo.

Za najpierwszą i najistotniejszą przyczynę uważać musimy fakt, że skauting, czyli harce młodzieży, wyrasta konsekwentnie z instynktowego, nawskróś młodzieńczego p r a g n i e n i a t r u d u

fizycznego i walki, z chęci stawiania czoła niebezpieczeństwu, narażania nawet życia, byle dokonać czynu wielkiego, sprawnością fizyczną wzbijającego się nad pospolity poziom. Pulsująca energią żywotności młoda natura rwie się niecierpliwie do przygód, w których junacki rozpęd swój mogłaby wyładować, czegoś nim dokonać.

Czasy ostatnie świadczą, jak groźne może być zaniedbanie i niezużytkowanie tej siły psychicznej. Przecież to nie tak dawno, kiedy prasa codzienna i tygodniowa zawodziła bezsilnem biadaniem na widok gorączkowego pościgu młodzieży za literaturą kryminalistyczno-brukową. Tysiącami szły ohydne, brudne zeszyty Sherloków Holmesów *e tutti quanti* między młodzież, wyrywano je sobie z rąk, przekarmiano się nędznemi opowieściami o nadzwyczajnych, awanturniczych przygodach tego rodzaju »bohaterów«. Nieprześcigniony »bramkarz« i Sherlock Holmes — oto do niedawna szczyty tęsknot i uwielbień młodzieży! Biadano nad tem — i nic więcej. Mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że przecież w istocie takiego powszechnego pędu do awanturniczości tkwić musiała jakaś potrzeba psychiczna, jakiś głód, domagający się zaspokojenia, jakaś przyczyna, którą należało poznać, aby przeciwdziałać zalewowi zdziczenia moralnego.

Przyczyną tą była właśnie żądza przygód, unoszona wartkim nurtem energii młodzieńczej, pragnienie nadzwyczajności zdarzeń, w których motorem głównym jest sprawna nad podziw, pewna siebie wola, odwaga i junacki rozpęd, pokonywający przeciwności. Nie mając pola do wyładowania tego rozpędu, do ucieleśnienia instynktowej tęsknoty do życia silnego, czynnego, zwróciła się młodzież do karmienia choćby wyobraźni swojej opisami takiego życia.

Dziś po tej gorączce ani śladu, dziś rozwarła się już tama, i nurt sprężającej się energii młodzieńczej prze w życie i harce skautowe. Mnożą się nad podziw szybko drużyny i zastępy. Instynkt młodzieży odwrócił się od nizin, wszedł na dobrą drogę, wprzęgnął się w trud.

Najpopularniejszym objawem tego głodu przygód jest młodzieńczy kult żołnierstwa. I to jest objaw powszechny, tak powszechny, że nic przełamać go u nas nie zdoła, nawet to naturalne w duszy polskiej *odium* do obcego munduru. Młodość instynktownie otacza żołnierza aureolą czci: oto człowiek, którego najpierwszą powinnością jest szukanie niebezpieczeństwa, walki, człowiek, dla którego hart woli, sprawność fizyczna i pogarda śmierci jest przykazaniem.

Na tym fakcie psychicznym skauting opiera się przedewszystkiem. Narodził się *inter arma*, wydała go wojna, twórcą jego jest generał-bohater; jego konstrukcya wewnętrzna zahacza co chwilę o wychowanie żołnierskie. Surowa karność, punk-

tualność, posłuch dla dobrowolnie wybranego przodownika, pierwotność potrzeb i na własną zaradność zdany trud życia obozowego, większa część ćwiczeń odbywana na wycieczkach, gawędy obozowe przy ognisku nocnem — wszystko to zmierza do jednego celu — do oparcia życia skautowego na kulcie żołnierstwa.

Wychowanie dzisiejsze, przeciążone t. zw. »siedzącą pracą umysłową«, skazujące młodzież na długie przesiadywanie w natłoczonych izbach szkolnych, wymagające i poza szkołą ślęczenia nad książką — potrzebowało gwałtownie przeciwwagi. Staje się nią i stać powinien skauting, ogarniający w sobie prawie wszystkie sporty i przynoszący nadto własne, duże wartości. A już przedewszystkiem u nas, gdzie się wszystko przysięgło na spaczenie naszego rozwoju: i zakorzeniona odwieczna samowola, i luzactwo niesforne, i właściwości psychiki, pomnożone przez jednostronną kulturę wieku ubiegłego; u nas, w narodzie, który bardzo bystro i subtelnie widzi sprawy duchowe, którego oczy zwrócone są jakby na wewnątrz, — u nas skauting, szkoła sprężystości, karności, szkoła spostrzegawczości i zaradności w życiu codziennem, rzeczywistem, jest błogosławionym zwiastunem przemiany, naprawy, zdrowego, rzetelnego odrodzenia.

Ale to jeszcze nie wszystko — przytoczone racye nie wyczerpują wszystkich przyczyn rozrostu

skautingu w Polsce. Junactwo i żołnierstwo same sobie celem być nie mogą dla młodzieży polskiej, dla tej młodzieży, która jest może skrajną przedstawicielką szczytnej naszej doli, nakazującej nam wszystko sądzić miarą przydatności narodowej. W młodzieży polskiej żyje ta wola wzniosła i silna. My z mlekiem matek karmimy się troską narodową. W ten rytm układa się życie czujniejszej, głębiej czującej i patrzącej młodzieży. To fakt, dobry czy zły, ale fakt. Wynika zaś z niego nieodparcie szczególna, życie młodzieży nawskróś przenikająca żądza przemiany. Nieświadoma wielce skomplikowanego mechanizmu życia, upraszczając go po swojemu, rwie młodość niecierpliwie naprzód na widok niemrawego postępu narodowego.

— Tyle lat żyjemy w nienormalnych warunkach, przywaleni stekiem zła! Szukając oparcia w ostatniej ostoi ratunku, w uczuciu narodowem, pielęgnowaliśmy i wzmacniali to uczucie przez szereg pokoleń. Polska miłość ojczyzny dosięgała szczytów żarliwości, aż do zatracenia. Tem świecili nam ojcowie, polskie wychowanie skierowało się do tego, by tworzyć gorących Polaków. Błogosławiona to praca, a przecież...

Tyle pokoleń prowadziła ta miłość, dochodząc do takiego rozżarzenia patryotycznego, że wylewała się jak lawa na cały naród, a przecież nad losami naszymi wciąż jeszcze ciąży i najświętsze

nasze uczucia przytłacza wiecznie ta sama »śmieszna polska nędza«.

Czemuż tak jest?

Odpowiedź na to stara, osłuchana: nie umiemy pracować dla Polski. Na szczytach rozżarzonego entuzyazmu stale przebywać nie można — zwłaszcza temu, kto ma pierś na miarę krawca. Więc schodziło się z wyniosłości bohaterskich porywów na szary, błotny padół powszedniości. Rozszczepiało się życie polskie na wzloty i spadki duchowe, na narodowe »świątki« i »piątki«. Dwa znaliśmy wymiary.

Dusza polska jest chora na rozdwojenie, więc zerwał się raźny ruch by ją uzdrowić, skautowy. Otóż w tem właśnie, że on się zaczepia o zniecierpliwienie, że młodzieńczą żądzę przemiany wplata w ogniwa rzetelnego wysiłku, że ją zwraca na pole pracy narodowej, — tkwi bodaj najdonioślejsza i ostateczna przyczyna rozrostu skautingu w Polsce [1]).

* * *

Widać z tego, co tu powiedziano, że system wychowania skautowego obejmuje stronę fizyczną i moralno-narodową. Podstawą dla obu jest wpo-

[1]) Ten rys polskiego skautingu skłonił p. Z. Wasilewskiego, że książkę swą p. n. »Myśl przebudowy« poświęcił »skautom polskim«.

jenie w skauta przeświadczenia: »Wszystko, co robię, mam zrobić jak najlepiej«. Tracą już u młodzieży kredyt »czyny« nadzwyczajne, odświętne, którym towarzyszy bylejakie zbywanie obowiązków codziennych. Najpierwszą cechą skauta jest dążenie do s u m i e n n o ś c i i w z o r o w o ś c i na każdym kroku. Czy to jest obowiązek włożony, czy podjęty dobrowolnie, ma skaut wkładać weń najlepszą wolę i jak najwięcej usilności, nie wykręcając się półczynem, wykonywując powinności z ochotą, nie z miną męczennika czy skazańca.

Kontretyzuje się ta sprawa na gruncie szkoły i nauki. Od samego początku postawiono skauting jako system współdziałania ze szkołą, uzupełniający ją w wychowaniu pozaszkolnem. W różnych drużynach różnymi zabiegami rozwija się to współpracownictwo, a jego wynikiem jest już dziś stanowcze podniesienie się poziomu umysłowego i pilności skautów. Statystyka postępów szkolnych wykaże to kiedyś w cyfrach, dziś wystarczyć musi zapewnienie wielu nauczycieli, świadectwo galicyjskiego zawodowego pisma nauczycieli: »Muzeum« (zesz. z kwietnia 1913 r.), i świadectwo kolegów. Usunięcie skauta w stan t. zw. »czasowego urlopu« za opuszczenie się w nauce należy do najcięższych rygorów w regulaminie drużyny. A nietylko naukę szkolną obejmuje zasada czynienia wszystkiego przy najlep-

szem użyciu sił: skauting zaszczepia ją w duszy jako podwalinę całego życia.

W dwie odnogi rozwija się życie drużyny skautowej: jedna — to wycieczki, połączone z ćwiczeniami, druga — to gawędy obozowe. Pierwsze kształcą przedewszystkiem sprawność fizyczną i dzielność charakteru, drugie wspierają wychowanie moralno-narodowe. Jedna lub dwie wycieczki na tydzień i gawęda obozowa w połączeniu z ustawiczną wzajemną czujnością nad własnem i druhów postępowaniem — oto jak się na zewnątrz przedstawia to życie.

Zadaniem wycieczki jest wyrobienie całego szeregu zdolności skautowych, t. j. spostrzegawczych, przyczem jest zasadą: najczynniejsze użycie zmysłów, instynktu oryentacyjnego i uwagi. Skaut musi możliwie najdoskonalej widzieć, słyszeć, pamiętać co się wokoło niego dzieje, uczy się wnioskować ze spostrzeganych szczegółów, poznawać z nich wydarzenia przeszłe, przewidywać przyszłe. Ćwiczenia te są szeroko uwzględniane w podręcznikach skautowych i w praktyce. Trudno tu wchodzić w ogrom szczegółów.

Dalej uczy się skaut zaradności w obcowaniu z przyrodą. Zadaniem jego jest nabycie takiej sprawności, którąby mu pozwoliła własną siłą, zapobiegliwością i zdolnością oryentacyjną obchodzić się przez kilka dni bez pomocy ludzkiej, bez udogodnień kultury, nie zbłąkać się, nie uledz trudnościom, lecz zadanie podjęte wykonać. Zdobywa więc umiejętność urządzenia sobie noclegu, schronienia, ogniska, zdobywa najdokładniejsze poznanie i zżycie się z przyrodą żywą i martwą, umiejętność znalezienia sobie pożywienia, najwyższą wytrzymałość na niepogodę, trudy, niewygody i t. d. Do zdolności skauta-harcerza należy sprawność wywiadowcza, umiejętność tropienia po śladach, po głosie, po zapachu, w myśl zasady: widzieć, odkryć wszystko, nie będąc widzianym. Do tego przyłącza się szereg ćwiczeń, wchodzących w zakres umiejętności wojskowych, więc terenoznawstwo, oryentacya w polu według mapy i bez niej, pionierka, ratownictwo w nagłych wypadkach, sposoby porozumiewania się sygnałami na odległość i t. d.[1]). Czas wolny i teren stosowny wyzyskuje się na urządzanie gier i zabaw ruchowych. Atrakcyjną bowiem stroną wycieczki jest forma swobodnej zabawy[2]). W takiem połączeniu zabawy i pracy osiąga się cele skautingu.

Całe to wychowanie fizyczne ma w polskim skautingu własną swą głęboką podbudowę. Opiera się na twardym, żołnierskim posłuchu, na dobrowolnem poddaniu się pod ścisłą, zbiorową kar-

---

[1]) *Z. Wyrobek:* »Vademecum skauta«. Wyd. II. Kraków, 1913. Bardzo dobre, zwarte ujęcie strony technicznej skautingu.

[2]) *Dr. Mojmir:* »Zabawy i gry skautowe«. Lwów, 1912.

ność. Ta z istoty organizacyi skautowej wynikająca karność ma u nas osobne zabarwienie.

Jest mianowicie zabiegiem, świadomie przeciwstawianym jednej z najprzykrzejszych wad narodowych: samowoli, wrodzonej skłonności do sobiepańskiego luzactwa. Nas to przecież gnębi już od wieków, zżera wydajność wysiłków naszych z pokolenia w pokolenie ta polska samowola. »Bo mi się tak podoba« — jest przecież ciągle jeszcze u nas argumentem, wobec którego bezsilne zostaną oczywiste, prześlicznie wypowiedziane racye rozumowe, co więcej: bezsilne nawet rejtanowskie, do stóp się rzucające zaklęcie. Zżera nas to luzactwo społeczne, jak czerw. Odziedziczyliśmy je z krwią po pokoleniach przeszłych, pomnażamy nieszczęsnym dorobkiem własnym. Uprawia pod nie grunt wygoda jednostkowa, nawożą go bujnie złe z poza granic wsiąkające wpływy. W głębokich pokładach dusz osiada anarchizm, kult skrajnego, nie poddającego się pod obowiązki — indywidualizmu. Decentralizuje się naród najgorszą decentralizacyą — rozproszkowaniem dusz nie sprzęgniętych wspólną wolą...

Co to za radość wiedzieć, że w szerokich rzeszach młodzieży właśnie zrodziła się świadomość zła i wola planowego, bezwzględnego leczenia! Skauting polski, karczując stare narodowe nałogi, przeciwstawia luzactwu, rozsypliwości — karność, posłuch żołnierski wobec dobrowolnie uznanego

naczelnika. Budzi marniejący w nas instynkt gromadzki, uczy życia zrzeszonego, organicznego, życia z ludźmi i dla ludzi.

Wielka to praca to przekształcanie charakteru narodowego, rozkruszanie starych skamielin zła, żeby wydobyć z pod nich wartkie siły na nowe życie. Na wielkie zamiary mierzy siły swe młody ruch, a rozpęd i wytrwałość świadczą, że im chyba podoła.

Strony teoretyczne ćwiczeń skautowych omawiane są w gawędach obozowych. Piękny ten pomysł, przeszczepiony do nas z Anglii, uległ u nas, jak zresztą cały skauting, znacznej przemianie. Gawęda taka z chłopcami angielskimi odbywa się w nastroju tajemniczym, wśród mroków nocy, w zaroślach leśnych, przeważnie przy ognisku, i przypomina jakby sceny z powieści fantastycznych, lubo z treści jest to swobodna opowieść, połączona z pytaniami i odpowiedziami. W Polsce przystosowano to do charakteru narodowego i do skłonności chłopców, nawiązano do naszych dziejów, przypominając, jakto dawniej na postojach, »kiedy zdrożeni żołnierze, rozłożywszy się obozem w gęstwinie leśnej, zasiadali w krąg ogniska, porządkowali broń i naprawiali odzież, w rozmowie z towarzyszami krzepili swe dusze, a wtedy i sam wódz włączał się w kolisko, jednoczył się z szeregowcami węzłem braterstwa, wzmacniał i zapalał dusze żołnierskie, odsłaniając przed nimi wznio-

słość i świętość sprawy, w której służbę się zaciągnęli. Skaut polski zwyczaj ten od ojców przejąć powinien. To też jego gawędy obozowe, jak i owe dawne gawędy, obok pouczeń i wiadomości fachowych, żołnierskich, muszą zahaczać i o tę wysoką dziedzinę myśli i uczuć, gdzie człowiek cel swój buduje i ustanawia«[1]).

Gawędy takie stały się, poza omawianiem ćwiczeń, kuźnicą wychowania. Przez nie dokonywa się ta część pracy, której zadaniem — wychowanie narodowe, będące wytyczną niniejszego szkicu.

* * *

Wychowanie w skautingu opiera się, jak na podwalinie, na owej samorzutnej żądzy służby narodowej u młodzieży. Pęd ten, ujęty w pewien plan, jest tu skierowany do wytężonej i celowej pracy.

Na jej czele stoi kardynalny warunek świadomości narodowej: poznanie jakby przyrodnicze, doświadczalne dzisiejszego stanu narodu.

Jednym z pierwszych obowiązków wyćwiczonego już fizycznie skauta jest odbycie w czasie wakacyi choćby jednej większej wycieczki. Wakacye roku 1912 i 13 widziały już owoce tego obowiązku. Zaroiły się okolice Galicyi od młodzieży,

[1]) *Skaut* (lwowski), r. 1912, nr. 10, »Gawęda obozowa«.

która, w myśl nauki Szczepanowskiego, wie, że należy poznać kraj własny tak samo dokładnie, jak się w turystyce studyuje i poznaje obce kraje.

Otóż w gawędach skautowych uzupełnia się turystykę po Polsce planowem poznawaniem stosunków geograficznych, etnograficznych, gospodarczych na obszarze ziem polskich. Tak to przy pomocy lektury i autopsyi kształci się w młodzieży rzetelną oryentacyę w rozkładzie sił i prac własnego narodu. Książki: Jarosza o Śląsku, Kołodziejczyka o Spiżu, Bujaka o Galicyi, Römera i Wasilewskiego o Litwie, Fr. Morawskiego o Poznańskiem — to bieżąca lektura skautów. Ale wiedza ta nie jest narzucona jako obowiązek, bierze się ją jako wyjaśnienie i urozmaicenie wędrówki; stąd nabiera ona dla młodych podróżników tego powabu, jaki trudno obudzić nauką szkolną. A zajęcie przedmiotem wzmaga się jeszcze przez to, że każdy zastęp (6—8 chłopców-przyjaciół) obiera sobie za patrona jedną ze znakomitych postaci z przeszłości naszej, której życie i zasługi dokładnie poznać jest obowiązkiem i chlubą dla drużyny. W ten sposób kształtuje się przyszły obywatel, dla którego nic polskiego nie jest obce: kraj, ludzie, ich sprawy, dola, prace i potrzeby.

Ale byłby to dopiero stan bierny polskości, kapitał, który może posłużyć do budowania rzeczy wielkich, ale który też może pozostać bezużytecznym, jak owe biblijne talenty, zakopane

w ziemi. Polskość c z y n n ą wyrobić, wprowadzić zastępy na trudną ścieżkę ustawicznej, najowocniejszej przydatności narodowi — to jest zadanie wychowawcze skautingu. Nie da się ono zamknąć ani spełnić w pogadankach, ono sięga w dziedzinę uczucia i woli, ma wzbogacić duszę, nietylko umysł. Jest to trud, którego z zewnątrz dokonać niepodobna. To też w rozwijaniu i modelowaniu woli czynnego patryotyzmu skauting nie traktuje sprawy po doktrynersku. Podaje on »nutę pieśni«, jak powiada Mickiewicz, nie zaś jej słowa.

Rytm tej nuty zawiera się w tak zw. »prawie skautowem«, obejmującem 10 punktów. Otóż jednem z naczelnych zadań wychowania skautowego jest: wdrożyć w młode dusze takie poszanowanie dla tego »prawa«, jakie mieli dla swoich prawideł honoru rycerze średniowieczni, jakie mają dla sztandaru żołnierze dzisiejsi. Systematycznie kształcona wola pełnienia tego czcigodnego prawa jest jak rzeźki prąd: dobrze skierowany, może w swoim przebiegu dokonać prac wielkich. Jakaż jest tedy amplituda i szybkość tego rytmu?

Oto chce skauting nauczyć rzeczy bardzo prostej. Chce wprawić swego członka do przemienienia każdego, najpowszedniejszego zajęcia, każdego poruszenia myśli i woli w trud, n a r o d o w i p r z y d a t n y. Chce nauczyć, że w takiem zastosowaniu nakazem najwyższym są słowa, zastosowane z Pisma: »Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek

innego czynicie, wszystko czyńcie w imię i dla ojczyzny«.

Jakże sobie skauting w tem dziele poczyna? Jak uczy łączyć pospolitość ze świętością? Jak niszczy rozdźwięk między żarliwością uczucia a mozołem codziennym, jak nadaje każdej chwili pełne poczucie przydatności narodowej?

Pracę tę podjął skauting w tym ustępie swego prawa, w którym mowa o skautowych »dobrych uczynkach«. Owo proste określenie powinności: »Skaut nie przepuści dnia jednego, w którymby nie dokonał czegoś dobrego, szuka sposobności dla dobrego uczynku« — oto najdoskonalsza myśl wychowawcza.

Bywa, że człowiek dobry czyni dobrze, gdy mu się do tego sposobność nadarza, gdy go przypadek na nią naprowadził. Taki uczynek tylko przez pół pochodzi z woli człowieka, jest rzeczą trafu. Otóż skaut ma przemienić ten stosunek woli do czynu. Zła unika bezwzględnie, a co do swego dobrego uczynku p o s t a n a w i a z g ó r y, ż e g o w dniu dzisiejszym s p e ł n i. Jest w tem podobny średniowiecznemu rycerzowi, który idąc w świat, rzucał spokój, dom, zajęcia powszednie, aby s z u k a ć, ktoby jego pomocy potrzebował.

Ale dla skauta polskiego tak ogólnie pojęty czyn nie wystarcza. Dla niego »dobry uczynek« wyraźniej, głębiej się określa, bo wplata się nierozerwalnie w ustawiczny, natężony trud narodowy.

Tego uczy inny przepis prawa skautowego, nakazujący szukać tego, czego od nas wymaga dobro ojczyzny, i to pełnić.

Czego odemnie ojczyzna wymaga, na jaką drogę pracy owocnej, przez »potrzeby« wiekowe wypróbowanej, mnie wzywa? Przeszłość Polski, jednolita wola najwyższych w narodzie — określiła tę drogę niechybnie. Myśl twórców Konstytucyi ostateczna [1]), myśl i trudy Słowackiego, Szczepanowskiego i legionu innych — w jedno się skupiła, ścieśniła, jak promień w ognisku soczewki, jednym głębokim rwie nurtem. Najwyższym, w marmurze kutym jej wyrazem są słowa Mickiewicza o rozszerzaniu granic ojczyzny, przez rozszerzanie serc własnych człowieczych.

To nie owa obłędna formułka, którą dosadnie przedstawił Mickiewicz: »Niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby zbudzić się miała według arystokracyi, albo: niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracyi«... To nie doktryna, lecz wsłuchiwanie się w głos ziemi polskiej, w rytm jej serca, w przekazaną nam wolę pokoleń.

Mówi skautowi rytm serca matki-ziemi: wymieć z siebie zło, małość, plugawość, a nadewszystko najstraszniejsze — samolubstwo, żądzę użycia,

[1]) Dla przykładu por. chociażby Ign. Chrzanowskiego: *Historya literatury niepodległej Polski*, str. 548.

beztrud, zadowolenie z dosytu... Wszystko się zdobywa tylko przez trud — a jakże do trudu będzie ochoczy ten, co się wychował w kulcie sytości, w nieochocie do trudu i poświęceń?

Codziennym dobrym uczynkiem polskiego skauta jest: nie opuścić żadnego dnia ani chwili, żeby się nie powściągnąć cuglami woli, żeby nie przełamać ujemnych żądz i popędów, mogących rozpostrzeć nad nami swą tyrańską władzę, żeby się wysiłkiem dobrej woli nie przyczynić do wykucia z siebie posągu niezłomnego człowieka, obywatela, walecznika.

I ten drugi nakaz: z dnia na dzień, z godziny na godzinę kuć w sobie wolę służby, wolę szanowania potrzeb narodu ponad własne potrzeby, widoki, zyski, przyjemności. Posiąść niezawodnie tę siłę, która mi w chwili wyboru każe przenieść — z lekkiem sercem, najoczywistszą koleją rzeczy — pożytek narodowy ponad pożytek własny.

Więcej jeszcze: nie dopuścić do istnienia takiego rozdźwięku, tak przekuć swą duszę, żeby przydatność narodowa była dla niej osobistym, najwyższym pożytkiem.

Taki jest zakres »dobrych uczynków« polskiego skauta, taki jego codzienny trud usprawniania siebie dla przydatności narodowej.

Trudno tu zebrać wszystkie przesłanki, na których opiera się przeświadczenie, że ta skautowa

»nuta pieśni« prowadzi drogą nieomylną. Szkicowe nakreślenie ich p o d s t a w y wyjaśni je nam w sposób najkrótszy.

Najwyższem dążeniem wychowania narodowego musi być wykształcenie w powszechności narodu instynktu państwowego. Na czem tedy polega istota tego instynktu?

Życie państwowe, jako wyższa forma życia jednostkowego, musi mieć własne potrzeby, własną energię i własne państwowe środki — tak jak je ma dla siebie poszczególny człowiek. Gdy państwo jest silne, samorządne, otrzymuje te środki od wszystkich obywateli jako powinności (rekrutacya, podatki, praca wybitniejszych jednostek w kierownictwie sprawami państwa i t. d.); posiada siłę po temu, by potrzebne mu środki pobrać nawet od opornych. Ale zadaniem wychowania państwowego jest wyrobienie w charakterze obywateli poczucia obowiązku, poczucia, które im bez egzekucyi nakazywało wykonywanie tych powinności, nawet za cenę własnych przyjemności i zysków. Takie poczucia nazywamy i n s t y n k t e m p a ń s t w o w y m. Istnieje ono w ludziach tak samo, jak np. instynkt porządku, nakazujący człowiekowi utrzymanie koło siebie ładu i czystości, choćby to wymagało pewnego nakładu pracy. Dopiero na gruncie instynktu państwowego rozwijać się może zdrowe i doskonałe życie państwowe.

W dawnej Polsce był taki instynkt, aczkolwiek

nie tak silny, jakby należało. Dziś, przy zmienionych zasadniczych warunkach bytu, pod wpływem demoralizujących, działających odśrodkowo czynników, jak również wskutek przesunięcia się punktu ciężkości obywatelstwa polskiego ze szlachty na niewyrobiony pod tym względem lud — dziś instynkt ten się zatracił. Na jego miejscu rozsiadł się w szlachetniejszych duszach polskich wybujały indywidualizm, w pospolitszych — poziome sobkostwo, odnoszenie wszystkiego do siebie, zapatrywanie się na wszystko ze stanowiska własnej korzyści.

A przecież, gdy wszystkie narody dążą do rozwinięcia w obywatelach instynktu państwowego, tem bardziej u nas rozbudzenie i wzmożenie tego instynktu jest p o t r z e b ą n a j i s t o t n i e j s z ą, najpierwszem przeto zadaniem wychowania jest budzić i kształcić ten instynkt, wydobywać go z pod pokładów gnuśności, bezstronności, sobkostwa, urabiać młodzież na miarę świadomych, karnych, ofiarnych obywateli kraju.

Do tej przemiany, do uszlachetnienia dusz młodzieży świadomie dąży skauting. Do poziomu tejto przydatności podnosi każdy »dobry uczynek« tych, co go pełnią. Poprzez opanowanie siebie duchowe i fizyczne, przez sprawność w wyrzeczeniu się upodobań niższego rzędu na rzecz wyższych powinności dąży się do istotnego obywatelstwa.

Z tego zasadniczego założenia wychodzą dalsze

zabiegi wychowania skautowego. Skaut jest p r a w y w słowie i uczynku, jest c z y s t y, wyobraźnię swą i siły poświęcać musi tej wielkiej sprawie, której jest sługą, której poziomością nie wolno zbrudzić. Skaut n i e p i j e trunków i n i e p a l i tytoniu: wstrzemięźliwość bowiem jest najpewniejszym środkiem opanowania zachcianek w imię przydatności narodowej. Wyrzeczenie się pewnych nałogów nietylko dla tego, że są zdrowiu i dobrobytowi szkodliwe, lecz, że są plagą, niszczącą naród, wyzbycie się ich z tą myślą, aby całą energię skierować do służby ogółowi — jest doniosłą szkołą obywatelstwa. Wstrzemięźliwość jest jedną z największych zalet żołnierza. Albowiem żołnierz w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu — to człowiek, który wolę ofiary rozciągnął nie na kilka nałogów, lecz na całe życie, który sprawę wielką i ukochaną przeniósł nad wszelkie względy osobiste.

Takie są podwaliny, wartości i dążenia polskiego skautingu. Jaka będzie jego przyszłość — trudno dziś przesądzać. Zależy to od sprężystości i rozwagi kierownictwa skautowego, od jakości instruktorów drużyn, od samej wreszcie młodzieży. Cokolwiek nastąpi, jest on dzisiaj jednym z najważniejszych objawów naszego życia społecznego. Dotychczas rozwój ten odbywa się pomyślnie.

(»Przegląd Narodowy«, Warszawa, 1913).

WSTRZEMIĘŹLIWOŚĆ A WYCHOWANIE NARODOWE.

Cechą stałą wielkich prawd i spraw wielkich jest, że są zadziwiająco proste i oczywiste. Przez to może właśnie oczy ludzkie, wyćwiczone w subtelnem zaciekaniu w głębie, czy poprostu przywalone ich ogromem — uporczywie widzieć ich nie chcą. I zachodzi osobliwe wydarzenie: stoi pośrodku nas olbrzymia świątynia c z y n u w w p r a w d z i e, tylko w nią wejść, a tu tłumy naokół, targane lękiem, żalą się: »n i e w i e m y, n i e w i e m y«, albo zgoła kupczą żywnością i złotem — u wrót świątyni. A tylko oczy wznieść i krok uczynić, żeby wejść do wnętrza, w i e d z i e ć i c z y n i ć swój czyn.

Przerażająco oczywista, aż surowa w prostocie jest r z e c z nasza wspólna, p o s p o l i t a, wstęp do polskiej świątyni widoczny na przestrzał, tajemnica naszych nadchodzących czasów — na dłoni. I bodaj dla tego właśnie na powszechną

niewiedzę polską biada lękliwie rozchybotane luzactwo polskie, dlatego właśnie dwornym prześmiechem i leniwą niedbałością, a nierzadko napastliwem huzia! bije w tych, którzy we wrota już wchodzą. Polski ruch odrodzenia przez wstrzemięźliwość boleśnie dobrze o tem wie.

* * *

A sprawa jest oczywista.

Dotychczasowy typ życia zbiorowego wyrósł na podścielisku najniezawodniejszem, oparł się na instynktach. Instynkt obrony i instynkt zdobywania, oto najgłębsza tajemnica więźby państwowej. Tem państwa powstały i tem trwają. Zbiorowo, zjednoczonemi siłami tem łatwiej się utrzymuje, nawet pomnaża, stan posiadania jednostkowego. Życie zbiorowe oparte jest jak na komórce — na egoizmie jednostek. Potem dopiero przychodzi i tężeje w sobie czynnik dalszy: machina państwowa, ta nabiera samoistnego życia — reguluje instynkty mas. Sprawnością rządu i bezwładem inercyi rzesz istnieje to, co powstało jako odruch samozachowania.

Niemniej przeto motorem życia zbiorowego państwowego jest jednostkowy czy rodzinny egoizm. W jego intensywności leży siła, ale i przekleństwo państw. Rychło, a rozwarcholić się mogą

komórki przeciw organizmowi. Bali się tego socyologowie-utopiści i, od Platona począwszy, przemyśliwali o środkach zaradzenia złu, o zniesieniu instytucyi rodziny, zniesieniu systemu posiadania i t. d.

W ostatnich dopiero czasach pomyślano o naprawie przez zmienienie dusz.

Po rozbiciu organizmu państwowego Polski — cóż nas może trzymać w spójni? Zbiorowa nadzieja utrzymania przez polski rząd stanu jednostkowego posiadania w bezpieczeństwie, nadzieja powiększenia go przez podboje — odrazu się przeniosła do trzech nowych stolic. Instynkt obawy i nadziei odrazu się zwrócił przeciwko dawnej więźbie narodowej. Jak stał się np. Wiedeń siedzibą sprawiedliwości najwyższej i najwyższej łaski dla polskiego chłopa w Galicyi — wiemy nazbyt dobrze.

Nasze więc zadanie jasne. Zbudujemy własne, samorządne państwo nie na wyzyskiwaniu instniejących najniższych instynktów, ale właśnie na ich przemianie. Odzyskamy swój własny, polski rząd — nie widokami wzmożonych zysków, a zmniejszonych podatków — ale spotęgowaną aż do szczytu zdolnością bezwzględnego zaofiarowania dobra jednostkowego — dobru zbiorowemu. Sprawa to oczywista jak słońce. Powstaniemy nie zmianą jakiegoś tam systemu, ale zmianą duszy zbiorowej. Na nowych podsta-

wach, na niesłychanej dotąd sile zbudować musimy życie polskie państwowe. Obudziła się już w Polsce ta siła, nazywa się świadomością narodową, odezwał się duch narodu. Ze zbudzonej i wzmożonej świadomości narodowej wytrysły nieprzeliczone dzisiejsze prostych ludzi bohaterstwa, na niej rozkwita kwiat polskiego życia pod butem nieludzkiej przemocy prześladowców. Ona to trzyma w tęgiej energii narodowej pielgrzymów nowoczesnych, emigracyę zarobkową Ameryki i Westfalii.

Mamy więc nową siłę dośrodkową, mamy grunt, na którym wzniesiemy swój własny gmach. Ale ten grunt trzeba uprawiać, oczyszczać z chwastów i rozszerzać. Oto najwyższe zadanie.

Dokonamy go — budząc w sobie i w zbiorowości narodu instynkt poświęcenia się za naród. Silna jest dotąd żądza ochronienia i pomnożenia stanu posiadania jednostkowego; my ją przełamać, przezwyciężyć w Polsce musimy, przekuć na wolę oddania wszystkiego, co najdroższe nasze, osobiste — dla wolnego, doskonałego państwa, wzoru narodu-państwa polskiego.

Teraz rzecz jest oczywista. Wszystko, co wzmaga w narodzie instynkt ofiarności, co przełamuje odwieczny ludzki oblazły egoizm — wszystko to najczynniej, najrzetelniej przybliża nas do naszego ostatecznego zwycięstwa. I tu jest niepożyta, nieoceniona zasługa polskiego ruchu wstrzemięźliwości, że w tem nowem polskiem wychowaniu narodowem stanął jako świadomy, konsekwentny szermierz. W tem jego najwyższa wartość, że uczy wyzbywać się przyjemności własnych — dla celów wyższych, że tępi egoizm przez stałą żarliwą kulturę poświęcenia, że wyrabia sprawność, instynkt ofiarny.

Nie dlatego Polak wyrzeka się nawet kropelki alkoholu, że przez nią pieniądze straci lub zdrowie nadszarga, ale że przez ciągłe przezwyciężanie w sobie pokusy do dogodzenia swojej żądzy przyjemności — wyrabia swą sprawność żołnierską na ostateczną narodową potrzebę. Powstać możemy jedynie przez poddanie jednostkowego samolubstwa instynktowi ofiary. Polski abstynent to wie i pod tem hasłem buduje siebie, drugich i przyszłość.

Z pośród dotychczasowych zabiegów przeciwdziałania niewoli — praca, podjęta pod znakiem wstrzemięźliwości i odrodzenia moralnego, jest najżywotniejsza, najbardziej niezawodna.

A że tych jej wartości przez dziesięć lat zbiorowość narodu nie dostrzegła, że ich nie podjęła — to jest jednym jeszcze ogromnie przygnębiającym przejawem starej, »śmiesznej polskiej nędzy«.

(»Kuryer lwowski« z 4. lipca 1914).

Z ROZMYŚLAŃ OBOZOWYCH.

Starym bukom lasów lotaryńskich.

Nigdy chyba jeszcze nie zadumała się myśl polska tak głęboko, jak dziś, nad prostem słowem Wernyhory z »Wesela«:

»Jutro?! Jutro wielką tajemnicą!«

Bo też nigdy za zasłoną tego j u t r a nie kryło się dla nas tyle najwyższych nadziei — tuż obok rozpaczy najwyższych. Myślę, że osobliwiej napięta nie była psychika polska nawet przed stuleciem, w »nadzieją brzemiennym« wielkim roku napoleońskim; bo silniejszy był wówczas i jednolitszy urok złudy, wyższa — do dziś już niejednokrotnym cierpkim zawodem wytrawiana — ekstaza zbiorowej naszej łatwowierności.

Więc chyba nigdy jeszcze...

Nigdy dotąd narodowa troska nie targała się tak boleśnie między przeciwległymi biegunami: — n a d z i e i i g r o z y... między *optima* — *pessima*.

Trzeba tu było podnieść tę oczywistość, gdyż o nią zaczepia się wątek mych zamyśleń. Nie ulegnie bowiem zaprzeczeniu, że wskutek dziwnej jakiejś w charakterze narodowym, niezatamowanej naszej impulsywności — jednostronnie zaabsorbowana troska społeczna wyczerpuje się między temi ostatecznościami. Rozdygotani wewnętrznie między najświatlejszą nadzieją a najbardziej ponurą trwogą o nasze »Jutro« — jesteśmy jak ci potępieńcy z klechdy ludowej, których trwanie streszcza się w ustawicznem przerzucaniu się z pola żaru na pole mrozu, — obadwa nie do zniesienia.

Podobni też przytem ekstatykom przestrzeni, co, zapatrzeni w dale, nie dostrzegają wyrw i kolców pod stopami. Bo i z nas każdy gorączkowo pyta, co nam przyniesie k o n i e c wojny, wolę czy niewolę, — nie troszcząc się o to, jedynieć uchwytne i życiotwórcze zagadnienie: co nam niesie p r z e b i e g wojny, jaki tej dokonywującej się epopei sens wychowawczy.

Jest wojna dobrą, uczciwszą, niż jakakolwiek inna, nauczycielką — *magistra vitae*. Powiedziana jest w Polsce mądra, chłopska prawda: kto nie umie umierać — jakżeż onby żyć umiał! Uczy wojna umierać, uczy więc pojętnie i żyć. Naukę tę warto rychło pojąć; opłaci się rzetelnie.

Dziś jeszcze ogarnąć nie możemy, jak wiele dziedzin życia i jak stanowczo przekształci się

wskutek obecnej wojny; ile impulsów zawdzięczać jej będzie wiedza: technika, medycyna, jak poprzetwarzają się ustroje i węzły społeczne, jak wzrośnie za jej podnietą etyka, wychowanie, sztuka etc., słowem: jakie to na rozoranych granatami zagonach nowe zakwitać będzie życie [1]).

Choć pewnie nie wszystkim z nas dana będzie łaska współpracy w niedalekiem tem odrodzeniu, przecie potrzeby jednak niema sejmikować na tematy eschatologiczne i zwlekać z rozpoczęciem. Sforne i tęgie społeczeństwo niemieckie — gdy już inny przykład niedostępny — bezzwłocznie i tej się jęło pracy; szeroko rozlega się tam hasło: *umlernen!*

Trzebaby i nam co rychlej.

---

[1]) Zastrzedz się tu trzeba koniecznie przed jednem nieporozumieniem. Wydobywając z potwornego kataklizmu dni dzisiejszych momenty odrodcze, etycznie dodatnie, nie chciałbym zostawić wrażenia, że rehabilituję samo zjawisko, że dzikie skłębienie imperyalizmów w wojnie uważam — ponieważ może pobudzić życie duchowe jednostek — za fakt moralnie zasadniczo dodatni. Byłby to obrzydliwy okaz moralistycznego egoizmu. Garść tych myśli nie wynikła z wewnętrznego przytwierdzenia wojny. Ale z drugiej strony niema co przymykać oczu, że wojna jest faktem, złym, czy dobrym — obojętna, ale faktem, który istnieje i który — pocóż tu rzucać kilimkiem — niejednokrotnie się jeszcze w dziejach ludzkości powtórzy. Czemuż go więc po doktrynersku negować, a nie brać za nieunikniony na razie, rzeczywisty czynnik życia?

O licznych tamtych gałęziach poczynającego się procesu przetworzeń powojennych trudno tu choćby myśleć — we włóczędze i na odludziu prawie. Tem uporczywiej czepia się myśl jednej z nich, wiosennej jeszcze latorośli; droższej, bo tykającej człowieczego serca — twego serca, żołnierzu! Nad młodą runią dokonywujących się odrodzeń duchowych chciałoby się przystawać wielokrotnie, zamyślać się w sobie głęboko i szeptem radosnym mówić o niej ludziom. Niech też będzie wybaczone, że mowa pójdzie okręgiem, jak u żniwiarza, co się półkoliście sierpem zanosi, zanim wydźwignie ponad zagon garść użątku.

*

* *

Już dziś napewno twierdzić można, że wielka wojna 1914—17 wyda swoje własne osobne pokolenie; na dusze swych wychowanków nałoży na resztę życia niezatarte piętno, podobne owemu, jakie »wierze« swojej, żołnierzom swych wypraw nałożył Napoleon. Wystarczy przypomnieć rolę Napoleonidów w patryotyzmie polskim przedpowstaniowym i w listopadowem powstaniu, żeby zobaczyć, co chcę tu podkreślić. Dla kontroli niniejszego wywodu przez analogię — trzeba równolegle przywieść na pamięć epokę popowstaniową i rolę belwederczyków w niej. Dopóki nowem doświadczeniem nie będziemy — oby nie po szko-

dzie — mądrzy, sięgać należy po doświadczenia stare. Dokądże indziej po nie się zwrócić poza listopadowem powstaniem — ostatnią naszą regularną wojną.

Otóż i powstanie 1831 r. wychowało niewątpliwie swoich ludzi, przekształciło i podniosło nastrój dusz własnych żołnierzy, wydobyło z nich nowe jakieś, potężne czynniki. Dzieje walk i wypadki pierwszych miesięcy po upadku mogą wiele powiedzieć o gromadzkiem, szarem żołnierskiem bohaterstwie wytrwania i o niezłomnej mocy zaprzysiężeń na dolę tułaczą. Że w skupieniu emigracyjnem niedawnych żołnierzy była widoczna jakaś dziwnie wielka przemiana psychiczna, świadczy dostatecznie jeden Mickiewicz, który przecież na owej rzeszy uchodźczej oprzeć chciał węgły niebywałej dotąd w świecie budowli: — narodu-zakonu wolności. Musiałaż tedy być godna! A późniejsze dzieje pielgrzymstwa co krok przynosić będą nazwiska ludzi młodych, służbie narodowej oddanych z żołnierską bezwzględnością, ludzi, legitymujących się jedynym tytułem do posłuchu: »b. por. wojsk. pol.« lub podobnie, odgrywających zaś później rolę wybitną w emigracyi.

Wycisnęło powstanie na pokoleniu ówczesnem niewątpliwie piętno odrodzenia indywidualnego i społecznego. Jakimże sposobem? I jakie jest znamię tego odrodzenia, w czem jego tajemnica? Oto

jest jedna strona dziś znowu aktualnego zagadnienia.

Rozważmyż ją co rychlej. Wojna inicyatorką odrodzenia? Wychowawczynią? Zadziwi się niejeden. Wojna — córka nienawiści, co sama podżega mściwość, odrętwia dusze na cierpienie i krzywdy, budzi instynkt grabieżnictwa i w. i. — i etyczne odrodzenie? Wygląda to na paradoks, a przecie jest prawdą.

Trudnoż tu zestawiać główne walory wychowawcze wojny, jak: pogłębione braterstwo broni, radosna poprzez trudy krzepkość fizyczna, trudna sprawność we władaniu sobą, napinaniu władz duszy i ciała w kierunku jednego odmierzonego zadania, umiejętność władzy nad innymi, otrzepnięcie się z czczego sentymentalizmu, oskorupiającego prawdziwą uczuciowość i i. Zostawimy to wszystko na boku; przyszłość i w tym względzie oszacuje kiedyś zasługę.

Tem wyraźniej podkreślić można będzie moment inny, wychowawczo — sądzę — naczelny, najistotniejszy dla obchodzącej nas tu przemiany w psychice żołnierskiej. Z pomiędzy doznań wojennych żołnierza jedno zapisuje się we wspomnieniu najsilniej, usunąć się z niego nie da żadną siłą; to t. zw. chrzest ogniowy, ten, z niczem się nie dający porównać przewrót, jaki się znagła dokonuje w człowieku, kiedy mu po raz pierwszy z blizka w oczy zajrzy — śmierć.

Dopadniesz, człowiecze, pieńka jakiegoś, jakiejś kretowiny, poza kawał najdroższej skiby wtulasz głowę w matkę-ziemię (oh, nigdy jeszcze tak szaleńczo, jak teraz, nie ukochaną!), byle nie widzieć, byle nie słyszeć piekielnego jazgotu pocisków nad sobą, nie słyszeć jęków i rzężeń na prawo i lewo... Budzą się w tobie, podnoszą nastraszone ślepia wszystkie instynkty życia, każde włókienko wewnętrznego ustroju napięte w jeden krzyk: ż y ć!

Moment to krótki na jedno »Zdrowaś«; kto w nim zginął, temu przymarza na twarzy, zastyga w oczach przeraźliwy skurcz nieludzkiego strachu. Twarzy takiej raz widzianej — zapomnieć nie zdolasz. Ale to chwila tylko. Jeszcze mgnienie, a rodzi się w tobie nowy człowiek, wybucha nowa, jasna moc. Wybłyska myśl-nakaz: wstać, przebojem uderzyć! Między błyskiem świadomej woli a wykonaniem — niema rozdziału. Dosłyszałeś w głębi siebie głos — i znagła mniesz pańską spokojną wolą obmierzłe wszystkie trwogi, przydeptujesz stopą rozszalały pra-instynkt trwania. Baczność! głowa w górę, ponad zbawczą osłonę i biegiem, biegiem — naprzeciwko śmierci!

Nowy człowiek się narodził; przezwyciężył śmierć, zgniótł w sobie strach przed nią. W tym to momencie rozpala się w duszy żołnierskiej iskra w y ż s z e g o c z ł o w i e c z e ń s t w a. Zmarł na ten moment osobnik stary, zbudowany na podwalinie wygodnego instynktu samozachowawczego,

powstał człowiek, który ma pamięć chwili, kiedy niestraszna mu była śmierć.

Z iskrą tą można wrócić w pospolite obozowe życie, w codzienny żołnierski kierat — i nie zgasić jej. Błogosławiony, w którym rozpali się w światło nieustające. — Idzie się potem w ogień nie raz, nie dwa; wezwyczaić się w to nawet można, a tamtej chwili się nie zapomni. To był wychowawczy moment wojny najwyższy, niezastąpiony.

Tak to wychowuje wojna; z pod przypadkowych narośli dobywa — choćby na jeden ten moment tylko — czysty, dźwięczny rdzeń bohaterskiego człowieczeństwa.

Oczywiście, nie trzeba mnie posądzać o ślepe doktrynerstwo, ni o przesadę. Zagarnia wojna miliony, a odradza setki tysięcy tylko. Cudów w tych sprawach niema. W kim była zarodź świętego płomienia — rozpłonie; kto duchowo obumarły — zdrętwieje, zapiecze się w swej zwierzęcości jeszcze bardziej. »Dobrego karczma nie zepsuje, złego kościół nie naprawi« — powiadano sobie u nas na wsi.

To też tresura militarna zwyczajnie nie liczy na samorzutne narodziny nowego człowieczeństwa w tych chwilach; nieuchwytny ten czynnik zastąpić chce wdrożeniem ślepego, odruchowego posłuchu, który również podrywa z ziemi i rzuca w atak. On też jest tam zasadą. Więc można wró-

cić z setki bitew, choć się w nich dzielnie walczyło — dzikim rozpętańcem.

Ale w kim jest zasiew życia duchowego, w tym rozkwita on rychło w chłodnym cieniu śmierci, chłop to, robotnik, czy pan. Już na oko stwierdzić można, że dojrzewają nasi młodzi ludzie w szeregach na podziw prędko i smutnie poważnieją. Wejrzawszy w taką duszę, widzi się odrazu jej dziwnie szybki wzrost.

Niejeden taki pęd zetnie rychło ostrze śmierci, ale zawszeć tych podwójnie żywych wyjdzie kiedyś z mas żołnierskich legion spory. Tych, co posiedli tajemnicę zwycięstwa, co znają prawdziwą wagę czynników życia, tych tu — cielesnych i owych tam — duchowych. W których niejako punkt ciężkości przeniesiony będzie odtąd na zewnątrz, dla których konkretną treścią osobistych doznań wypełni się takie słowo — liczman dla innych — jak powinność narodowa. Poznają się i zwiążą między sobą duchowem pokrewieństwem — bracia — wiara — żołnierze.

Z takiej rodziny byli owi z W. Emigracyi zaprzedańcy wolności, kwiat pokolenia listopadowego — jak żywy krzak róży wytargany chamską ręką z zagonu narodu i wyrzucony za mur. Z tej byli też Napoleonidzi polscy. Wystawi zastęp taki i wojna 1914—1917; zobaczycie go kiedyś między sobą.

Jakież go czeka przyjęcie?
Jesteśmy oto u progu drugiego zagadnienia.

*
* *

Wychowankowie powstania oderwani zostali od bloku narodu, wyrzuceni poza jego nawias; siły swe zdarli na ziemi cudzej, z ich duchowych rozpaleń nie wiele mogło przeniknąć w rzeszę narodu, tę rzeszę, co została przy zagonie, w rzemiośle, w powszedniej trosce pracy na życie. Więc przez to przestrzenne oddalenie znosiła się prawie bezboleśnie różnica poziomów, jaka była niewątpliwie między »emigracyą« a »krajem«. A przecież i tak były rozżalenia wzajemne, skargi, niechęci — zrodzone właśnie z owej jakościowej niewspółmierności obozów.

I teraz wyjdzie pokolenie wojenne o przetworzonej strukturze duchowej, a Bóg może mu pozwoli zostać w granicach ojczyzny, nie poza jej murem. Czyż więc urojeniem jest, że ta tworząca się siłą rzeczy różnica poziomów jakościowych może być teraz bezpośrednio bolesna? Może się stać źródłem złych konfliktów, zarzewiem rozgoryczeń: — »gdzież wyście zostali, a gdzie my? i czemu to tak?« — Czy nie wypadnie znowu najszczytniejszym siłom polskim stargać się na rozbijaniu niemrawej obojętności bryły narodu, na zasypywaniu nowego przedziału kastowości?

Sprawa to do przewidzenia łatwa i chyba godna, żeby się nią szczerze zakłopotać, kiedy jeszcze zarada możliwa.

Zaradzić, rozwiązać musi się oczywiście na wyż, nie na niż; nie przez stłumienie szczytniejszego życia, zrównanie go ze średnim poziomem, ale przez przeistoczenie calizny narodu, wydźwignięcie się ku nowemu życiu, wasze wydźwignięcie, czytająca i nieczytająca publiczność!

Jak? W sposób ogromnie prosty i ogromnie trudny przez to. Poprostu etycznym równoważnikiem zrównać, uwspółczcigodnić się z tamtymi, odrodzonymi w obliczu śmierci.

Etyczny równoważnik jeden narzuciły złe losy prawie połowie narodu polskiego przemocą. To nędza. Cierpienie, które przebija skorupę ludzkiego serca i dobywa z niego siły przedziwnej szczytności. Na żebractwo zeszła połowa Polski, ta tułacza, co je — o ile je — gorzki chleb litości, w poniewierce, zelżeniu, częstokroć i pogardzie u zabezpieczonych, solidnych tubylców. — I ci, co zostali na kawale ziemi, po norach, na deszczu i mrozie, by oglądać w gruzach pracę swoją i swoich ojców, zgorzeliny domostw, hańbę dzieci, by zapuchłemi oczyma też w twarz śmierci patrzeć, jak nadchodzi cichcem, leniwo, poza głodem, poza zarazą.

Dziesięćkroć potworniejsze to sprawy, niż wy tam w mieście pojąć jesteście zdolni.

I dziesięćkroć gorzej im, niż nam w szeregach, żołnierzom. O odpadki naszych kuchni polowych przychodzą żebrać jak o łaskę; że aż wstyd raptem zadławi wobec tych oczu zestrachanych. Dziesięćkroć też czcigodniejsze ich bolesne uniżenie od wyniosłego męstwa żołnierskiego. Odrodzą się, wybielą dusze prostacze, którym dane będzie przetrzymać straszliwy ten dopust Boży. Przed nikim oczu spuszczać nie będą. »Przez cierpienia i łzy uchodźców i bezdomnych polskich« — modlić się kiedyś będą pokolenia w jakiejś nowej litanii narodu polskiego.

Ale jest w Polsce i druga kasta. Są, co pochowali się w domach, w zaciszach, parukoronowem odczepnem uspokoili swe narodowe sumienie; są, co wypełniają kawiarnie i handelki, których tłum zawsze w kinach i na promenadach, wystrojony, gwarny, rozbawiony, którym ani w myśli jakieś należne powadze czasów podniesienie surowości moralnego życia.

Takie to są dwie kasty, i przepaść między niemi rozpęka się coraz głębsza. Trudno będzie tę różnicę doli zapomnieć i wybaczyć. Jakżeż to będzie kiedyś można w Polsce spojrzeć sobie wzajemnie w oczy i w dusze?

Potrzebna więc jest w masie narodu rychła przemiana wewnętrzna tego typu, jak owa ukazana w nagości swego dokonywania się przez wojnę, streszczająca się w nagłem rozpaleniu w sobie

życia wewnętrznego, oraz w przełamaniu instynktów wygodnego trwania przez świadomą wolę zaprzysięgłej służby. Dalej w tak bezwzględnem oddaniu się tej służbie społecznej w całości, bez zastrzeżeń, jak się oddaje żołnierz chorągwi — na śmierć i życie.

Co znoszą i czego dokonują ludzie tu, na froncie, to z bezwzględną pewnością przechodzi o wiele przeciętną normę wytrzymałości i produktywności człowieka. Chociaż nie mówię zgoła o osobnikach i czynach wyjątkowych, nadzwyczajnych, ale o pospolitej, codziennej służbie. Wytężeń tych i prac zapomnieć chyba żaden — kto żyw wyjdzie — nie zdoła, dlatego przedewszystkiem, że prowadził je przecie nie dla swoich widoków, nie dla zysku, ale z wyższego wezwania.

Otóż, żeby utrzymać równowagę doznań i sprawności duchowej między świadomą częścią wojującą a pozostałą resztą społeczeństwa czasu tej wielkiej wojny, powinno się w tej reszcie nieuniknienie konieczne dokonać przeobrażenie.

Analogiczny do owego żołnierskiego w obliczu śmierci — wstrząs i rozbłysk duszy nie da się w masach wykrzesać zewnątrz; cud nagłego wykwitu życia wewnętrznego prawie się usuwa w tym wypadku z pod zewnętrznej wychowawczej ingerencyi.

Zato powinność druga możliwa jest społecznie do przeprowadzenia. Równoważnik — ponad powszednią ludzką normę wytężonej pracy nie dla siebie, służby pełnionej z wysiłkiem i oddaniem, które aż o najwewnętrzniejszą iściznę duszy zahacza, — ten jest i możliwy i dzisiaj, w przełomowej godzinie narodu, wniebogłośnie potrzebny.

A toby był oczekiwanego dziś odrodzenia duszy zbiorowej zakład drugi. Taka dopiero służba, wyrosła z władnego zmięcia najpierwotniejszych instynktów samoutrzymania, wygodnego dotrwania do końca — przemienia jakościowo duszę, przetwarza jej najistotniejszą konstrukcyę, jak ów chrzest ogniowy żołnierski. Ona też dopiero byłaby zadatkiem przyszłej jednolitości zbiorowej duszy polskiej.

Trudna — zapewne, bezprzykładnie trudna powinność, ale bo też i bezprzykładna naszła nas potrzeba. Niebywała, najstraszniejsza z wojen stanież się najwyższą nauczycielką dla narodu naszego? Będzież nam epoką, czy kresem?

Jakże sądzicie, najdrożsi?

(»Głos Narodu«, Kraków, 1915, nr. 127, 129 z 11 i 12 marca).

SPIS RZECZY:

	Str
Słowo wstępne	V
Przedmowa	1
O kulturę wsi polskiej	10
Stanisław Witkiewicz, jako wychowawca narodu	29
Nauczanie historyi literatury polskiej w wychowaniu narodowem	71
Jeszcze o nauczaniu historyi literatury polskiej XIX. w.	89
Wartości wychowawcze »Pana Tadeusza«	106
Skauting polski wobec zadań wychowania narodowego	128
Wstrzemięźliwość a wychowanie narodowe	153
Z rozmyślań obozowych	158

Biblioteka Pedagogiczna Radom

58569

300-
15/29/1284